

RELACJA ERYKA BARCZA, nagrana 11 maja 1991 r.
przez
Małgorzatę Strasz.

W momencie, kiedy rozbrajano zgrupowanie wileńskie, znalazłem się z drużyną dziesięciu żołnierzy, z pełnym uzbrojeniem, na patrolu, ponieważ zajmowałem się zaopatrzeniem w żywność naszego oddziału. Na tyle daleko poza zasięgiem obławy, że wystarczyło przeczołgać się około kilometra polami. Nadlatywały samoloty z głośnikami, wzywające do poddania się. Wszystko to działo się bardzo blisko nas, ale byliśmy poza pierścieniem obławy. Skierowałem oddział na południe, w kierunku Puszczy Nalibockiej, która była dawniej bazą partyzantki radzieckiej. Po drodze układ się co chwila zmieniał, dołączali do nas nowi zbiegowie, dołączały grupy, oddziaływały się. W rezultacie uformował się pewien stały skład w ilości kilkudziesięciu ludzi, którego byłem dowódcą. Później pojawił się jakiś porucznik, któremu przekazałem komendę. Potem pojawiła się żona tego porucznika i oboje zniknęli. Dotarliśmy wreszcie w rejon Puszczy Nalibockiej.

Próbowaliśmy osłaniać polską ludność; znowu, tak, jak i w 40 r., zaczynały się wywózki, powstawały sielsowiety, posterunki milicji, organizowano obławy na - jak mówiono - dezertersów. Natomiast myśmy byli coraz lepiej uzbrojeni. W pewnym momencie stanął przede mną dylemat, kiedy na nasze obozowisko naszło pięciu Niemców, zestrzelonych z jakiegoś samolotu; wśród nich chyba pułkownik - wyższy oficer. Mieli odznaczenia, byli z bronią. Doszło do rozmowy, w której okazało się, że "element klasowy" przeważał nad "elementem

narodowym". Oni zaczęli wyciągać fotografie córek, zapraszać do swoich domów po wojnie. Stało się od razu jasnym, że jest wspólny wróg. Ja, mając wojsko bardzo marne, bo to w większości byli ludzie miejscowi, których główną myślą było uchronienie się od służby w Armii Czerwonej, w jakiejś cięższej próbie nie mogłem na nich liczyć, więc kilku takich prawdziwych żołnierzy to dla mnie było bardzo cenne.

Wtedy właśnie zaczęła się wielka obława, od strony torów kolejowych (ja dziś topografię tych terenów nnie bardzo pamiętam) szła w kierunku lasu. Przed tą obławą wycofywały się grupki ludzi, samoobrony, chowających się po wsiach, ale niektóre dosyć nawet liczne. Był taki oddział, który nawet był uzbrojony, miał karabiny polskie, maszynowe, wzór 30, gdzieś porzucone przez Niemców. Czy bataliony jakies białoruskie. Te wszystkie grupy nie miały wspólnego dowództwa, byli to watażkowie przeważnie. Pamiętam moment, kiedy zażądałem, żeby mi przekazano te karabiny maszynowe - dowódca powiedział jakies brzydkie słowo, odwrócił się i poszedł. Ja podniosłem pistolet maszynowy, miałem go na muszce i musiałem dokonać analizy całej sytuacji, zanim odszedł dość daleko. Opuściłem broń, oczywiście nie wystrzeliłem. Dopadłem go dopiero, kiedy była ta obława i wszystkie karabiny maszynowe... po prostu podmieniłem mu warty, zdjąłem ze stanowisk i bez konfliktu się obeszło.

Myśmy się ostatecznie "okopali" w bunkrach dawniej przez czerwoną partyzantkę zajmowanych, w jakiejś osadzie, która była nad brzegiem małej rzeczki. W rzeczce była taka ilość ryb, że nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Ludzie je pod stodołami suszyli. Po drugiej stronie rzeczki rozpoczynała się Puszcza Nalibocka, las gęsty. Karabiny maszynowe nasze

były ustawione już w lesie, i do tej osady myśmy tylko wyskakiwali. Byliśmy za rzeką.

Przechwyciliśmy w krótkim czasie paru szpiegów - posterunki zauważyły, że badają ślady na drogach; ubrani w łapcie, miejscowi. Przy szczegółowej rewizji znaleziono przy nich zaświadczenia, że należy im okazać pomoc, że wykonują zadania bojowe na rzecz milicji czy wojsk NKWD. Oczywiście zostali straceni od razu. To byli ludzie miejscowi, wysłani na wywiad, żeby ustalić miejsce naszego postoju.

Któregoś popołudnia leżałem na trawie za rzeką, na skraju lasu, opalałem się. Było cichutko. W pewnym momencie nadbiegł jeden z żołnierzy wystawiony na wysuniętym posterunku i krzyknął, że Ruscy idą. Myśmy zapadli na stanowiskach, rozpoczęła się gwałtowna strzelanina. Oni wybiegli, rozsypali się wśród kilku domów na wzgórzu. Ponieważ nie było żadnej odpowiedzi, nikogo [nie znaleźli], żadnych "bandytów", jak oni nazywali, wobec tego rozbiegli się po łąkach nad rzeczką i wtedy myśmy otworzyli ogień z wycelowanych zawczasu karabinów maszynowych. Tam około 40 ich zginęło. Tym niemniej w moim oddziale zapanowała absolutna panika. Kto strzelał, to strzelał - kto miał wycelowany [karabin], reszta uciekała w las. Zorientowałem się, że żadnej poważniejszej próby ci ludzie nie wytrzymają.

Okrężnymi drogami wycofałem oddział i wyznaczyłem marsz około 40 km (jak dawniej, za niemieckich czasów), żeby przetrzucić [się] możliwie daleko, żeby zgubić trop. Może było to 20 [km], dziś trudno to ocenić. Wybrałem miejsce, z mapy wynikało, że będzie stosowne - wśród bagien, mała kolonijka, trzy, cztery domy wszystkiego. Kiedyśmy nad ranem dochodzili do celu, to ja, wbrew regule, odezwałem się:

kula rozpruła, dostałem w łopatkę; wyszła górą, wrywając olbrzymią dziurę. Byłoby po mnie. W tym momencie usłyszałem krzyk -"Achtung! Handgranate!" i jeden z tych Niemców rzucił granat. Jeszcze dym nie opadł, rzuciłem się w tym kierunku, ostrzeliwując się. Zobaczyłem tylko w krzakach umykające postacie i znalazłem się poza ścisłym pierścieniem okrażenia. Podobno za mną wyskoczyło sześciu ludzi. Przedzieraliśmy się przez krzaki, ale ja osłabłem i oddałem im wszystko, co miałem - chlebak, coś jeszcze. Zostałem tylko z pistoletem. Jediną rzeczą, którą można było opatrunek zrobić, [były] kąpielówki, wepchnęli mi [je] pod mundur, na miejsce rany, i kazałem im uciekać, ponieważ ja nie byłem w stanie dotrzymać zdrowym ludziom kroku.

Powoli, powoli, krok za krokiem przedzierałem się przez krzaki, aż wyszedłem na jakąś polankę i zobaczyłem gospodarstwo. Idąc wzdłuż płotu, trzymając się bariery, dotarłem do chaty. Otworzyłem drzwi, drzwi skrzypnęły. Chata była jak wszystkie tam; nie było już kury, nie było pierzyny, nie było nic. Jeden garnek, klepisko, jakaś prycza. Dość stara kobieta, bardzo marnie ubrana. Najpierw przeraziła się, ale za chwilę, niewiele myśląc, zaczęła ściągać ze mnie mundur. Znalazła jakieś stare szmaty, położyła mnie na pryczy, nakryła, chustę zawinęła wokół głowy, mundur szybko wyniosła na dwór, tam zaczęła go zakopywać. Zrobiła mi prowizoryczny opatrunek, obmyła mnie ze krwi. I w tym momencie zaczęło się ujadanie psów. Stanęli na progu Rosjanie z pytaniem "*gdzie bandity?*". Ona mówi, że nie ma żadnych bandytów. -"A t o k t o ?" Odpowiedziała: -"*Doczka tifem balnaja*". Oni z miejsca drzwi zamknęli i ocalałem.

Minęło parę dni, miałem coraz większą gorączkę. Żadnych

możliwości leczenia, więc poprosiłem ją, żeby spróbowała doprowadzić mnie na punkt sanitarny, który znałem, nasz, odległy o 11 km. Ona wlokła mnie już półprzytomnego, z wielką gorączką. Tam były dwie nasze sanitariuszki; wzięły mój pistolet, zaprzęły furmankę, pojechały do miasteczka. Przywiozły felczera, który mi to wszystko rivanolem przepłukał. Kawałki kości aż brzęczały o miskę. Zostawił jedną pastylkę rivanolu. Te dwie pastylki rivanolu mnie uratowały.

[Gdzie to było, co to za miasteczko?]

Nazwy miejscowości, miejsce walki, wszystko to umknęło. Nie jestem w stanie tego odtworzyć. Może z mapą w rękę ... Nawet nie pamiętam nazwy tej miejscowości.

Później zaczęła się włóczęga. Dzień w lesie, pod jakimś krzakiem. Po żywność się wychodziło pod chatę, stukało, żądało chleba, mleka. Jeżeli nie dawali, to się strzelało na postrach. Wystawiali, drzwi skrzypnęły, ręka jakaś wysunęła jakieś jedzenie.

Nadeszły chłody, już była jesień. Była tam taka pani Piećkowa, właścicielka majątku; bardzo chłopci ją lubili, więc ją kryli, chowali. Ona mi załatwiła, że przyjmie mnie gospodyni, która jest w szkole, prowadzonej dawniej przez zakonnice, gdzie stoją wojska rosyjskie; tam na pewno będę bezpieczny. Twierdziła, że nikt mnie nie pozna. Byłem młody, nie goliłem się i w ogóle była ze mnie jaka taka dziewczyna, włosy dosyć długie... Przyszła taka kobieta do lasu, w buciorach; baba-chłop. Okazało się, że jest najlepszym szewcem w całej okolicy. Oprócz tego była służącą tych sióstr

przed wojną. I zabrała mnie.

Podchodzimy, już była ziemia przymarznięta, gruda, godzina 2 w nocy. Krzyk: -"Stoj! Kto idiot?!" -"Hajdajka".

Podchodzimy bliżej -"A kto z taboj?"

-"Rodstwiennica, s Vilniusa prijechała".

-"Prechadi!"

Przeszliśmy obok tego żołnierza, do stodoły. Rano umówiliśmy się, że trzeba będzie bardzo uważać, ponieważ w kuchni urzęduje adiutant, *dinszczyk* właściwie, ordynans, oficerów, młody chłopak. [Ja -] dziewczyna; będziemy spać w stodole. Pani Zosia (tak miała na imię ta gospodyni) będzie bardzo na mnie uważać, żebym się nie znalazł w jakiejś trudnej sytuacji.

Ale żołnierz był bardzo układy, przygotował bliny, śniadanie, ustawił wszystko na tacy, tacę dał mi w rękę, otworzył drzwi, powiedział, żebym podawał, bo zawsze lepiej, jak dziewczyna oficerom poda. W momencie, gdy wkroczyłem, wepchnięty nieomal przez niego, zobaczyłem, że jest to klasa szkolna. Rozstawiony stół, za nim siedzą oficerowie, a po drugiej stronie stołu dwóch żołnierzy [sowieckich] i dwóch moich żołnierzy, wziętych do niewoli w tej bitwie. Okazało się, że to była ekipa śledcza, która prowadziła normalne czynności związane z ekshumacją zabitych w tej bitwie oraz przygotowaniem materiałów dla osadzenia wziętych do niewoli moich żołnierzy. W momencie, kiedy stałem tak w drzwiach padło pytanie: "kto był komandir?". Miałem wtedy już zmieniony pseudonim, "Spad", po kapitanie, który zginął (jest ta scena w książce Kobylańskiej) w Warszawie, po dachach uciekał; to był mój dowódca. Żołnierz wymienia ten pseudonim. Pytają go o rysopis - wymienia rysopis. I pada pytanie: -"Co

się z nim stało? Czy uciekł, czy zabity?" On odpowiada, że nie wie, no i ten pułkownik (okazało się później, że prokurator wojskowy) mówi, że "uciekł, ale my go i tak złapiemy i powiesimy." I każą wyprowadzić przesłuchiwanym. I w tym momencie libacja, bliny, samogon wjeżdża na stół. Dobra atmosfera, żarty. Wyraźnie z aprobatą przyjęto, że obsługuje ich dziewczyna.

W ten sposób minęło bodaj 5 dni. Sceny takie, żebym był świadkiem przesłuchań, już się nie powtórzyły, natomiast w przeddzień lichl odjazdu gospodyni powiedziała mi, że oni są wszyscy pijani i wprowadziła mnie do pokoju, gdzie leżeli, rzeczywiście zupełnie nieprzytomni. Sugerowała, że należy lichl wyrznać, broń zabrać, budynek podpalić i w ten sposób będziemy górą. Po przemyśleniu sytuacji, przez chwilę próbowałem odtworzyć, jak ten świat, już prawie powojenny, wygląda... Doszedłem do wniosku, że karty zostały rozdane do nowej gry i że byłoby to bez sensu; nie zmienię tym na pewno nic. Niech tak, jak przyjechali, odjadą. Rano pułkownik przyszedł podziękować mi za miłą obsługę. Uścisnął mi rękę, którą z trudem mogłem mu podać, bo rana się jeszcze nie zablizniła, i odjechali.

Minął sielankowy tydzień. Gdy pewnego ranka siedziałem sobie z książką jakąś, Orzeszkowej bodajże, z biblioteki szkolnej - bez zrobionego biustu, bez stanika, ale z włosami rozpuszczonymi, długimi - raptem drzwi skrzypnęły, stanął w nich człowiek uzbrojony, w półwojskowym mundurze. Okazało się później - nauczyciel, który miał zostać kierownikiem szkoły. Były partyzant radziecki, z naganem u boku. Tak się potwornie wystraszyłem w tym momencie, że mało nie skoczyłem po pistolet pod poduszką leżący. Ale się opanowałem; on zwrócił

się do mnie per "dziewuszka, gdzie jest chazajka?". Czyli nawet w takiej sytuacji wyglądałem na kobietę bardziej, niż na mężczyznę. Poszedł szukać gospodyni. Gdy gospodyni powiedziała mi, że on tegoż dnia wraca, z bagażami, i mam przygotować pokój, doszedłem do wniosku, że już nie ma tu dla mnie miejsca i takiej konfrontacji ja nie wytrzymam. Wobec tego zaprzęgnięta została furmanka, miałem wcześniej zrobione buty, bo była najlepszym szewcem w okolicy ta pani, kożuszek miała uszyty dla mnie, i żeśmy pojechali do Wilna.

Jechaliśmy bodaj dwa, trzy dni, przez "krajobraz po bitwie". Las jeszcze żył, krążyły niedobitki Niemców i bandy, i miejscowi, i nasi - trochę się tułało jeszcze po lasach... Koło Porubanka, koło lotniska w Wilnie zatrzymała nas kontrola. Była przygotowana słonina; wzięli tę słoninę, nie szperali nic, puścili nas dalej. Przyjeżdżamy na [ul.] Mickiewicza 46... Był to adres państwa Wojnickich. Inżynier Wojnicki (co ile zapamiętałem) był przyjacielem Piłsudskiego, mieli majątki koło Wilna, a Nina Wojnicka dołączyła do oddziału już w okresie końcowym. Poznałem ją w okolicznościach dość niecodziennych, bo pojawienie się ładnej dosyć dziewczyny, jeżdżącej konno, wywołało taką euforię oficerów, że zrobili na jej cześć manewry. Manewry miały być bezpieczne, więc kazano ostrą amunicję pozostawić. Ja, wściekły na to, co widziałem, na tę rozpustę, zostawiłem sobie pewną ilość amunicji świetlnej do takiego karabinu automatycznego. Jak cała kawalkada konna wyjechała na wzgórze, żeby obserwować te pokazowe manewry, to ja ich ostrzelałem świetlnymi pociskami nisko nad głową. Zepsułem im przyjemność, szybko utknęli w dolinkę.

Znałem adres państwa Wojnickich i zastukałem do ich

drzwi kuchennych. Otworzyła bardzo przystojna pani, z lekko siwym włosiem. Kiedy spytałem o Ninę wpuściła nas do kuchni, powiedziała, że Nina poszła po książkę do sąsiadów. -"Niech panie siada". Za chwilę Nina się pojawiła, przekroczyła próg i wrzasnęła "ERYK!!" Ta mnie poznała od razu.

Gospodyni zostawiła zapas prowiantu. Po paru tygodniach bodajże wróciła, przywiozła mi mundur; znalazła tą kobietę, która mnie uratowała. Mundur był wyprany, zacerowany - było to zupełnie niezwykle. Więcej żeśmy się nie widzieli. Podobno została zamordowana przez NKWD, w miejscu zamieszkania.

Ja zostałem. Rano był problem, ponieważ byłem w strasznych buciorach wiejskich, nowych co prawda, ale zupełnie nie na dziewczynę, w kożuchu jakimś ... Nina powiedziała; -"jesteś teraz miejska dziewczyna, musisz nauczyć się malować usta, musisz się przebrać po ludzku" i zaczęła stroić mnie w swoje rzeczy. Kiedy żeśmy wyszli na miasto po raz pierwszy, to zwróciłem uwagę, że mężczyźni bardziej oglądali się za mną, jak za nią. Później była kąśliwa uwaga, że dlatego, że widocznie nie wszystko jest w porządku. Ja po prostu miałem zgrabne nogi i to było od razu widać ...

Było w tym sporo zabawy, ale trzeba było z tym żyć. W tym czasie było głodno. Na szczęście nasza koleżanka z oddziału, Zosia Pogorzelska, pseudonim "Baśka" (była już żoną mojego kolegi, porucznika "Jura", który zginął pod ostrzałem samolotów niemieckich w akcji wileńskiej, na moich oczach wręcz) pracowała w piekarni. Ja w swoim przebraniu czyhałem za rogiem, jak kolejka się skończy, chleba prawie nie ma, to ona bochenek zawsze nam podrzucała. On był w połowie z sieczką, niesamowite.

Zacząłem mieć adoratorów. Przychodził taki ... podobno były dyrektor banku, który miał wasy i mnie po rękach całował, tymi wasami tak jakoś śmiesznie. Ja nauczyłem się tak zachowywać, że po prostu mnie nie rozpoznawano. Natomiast rozpoznawały mnie dzieci, to było bezbłędne; zupełnie inne spojrzenie. -"Mamusiu, to nie jest pani". Więc ja zmykałem ... zawsze to było w mieszkaniu.

Moje rany nie były zabliźnione do końca, zostały resztki kości i pewnego dnia trzeba było załatwić lekarza. Nina mi załatwiła adres ginekologa, doktora Janowicza, który był "swoim człowiekiem", z organizacji. Zjawiłem się w jego bardzo zamożnym domu, w poczekalni. Czekają kilkanaście pań, więc siedziałem długo, czekając, żeby być ostatnim. Kiedy wszedłem do gabinetu próbowałem wyjaśnić, kim jestem, ale nie dopuścił mnie do słowa. Bardzo zmęczony, kazał się rozbierać. Kiedy jeszcze próbowałem, to jeszcze raz kazał mi się rozbierać. Skapitulowałem, zacząłem się rozbierać. Najpierw wyjąłem pistolet, położyłem go na stole, na szkle. On siedział na stole, patrzył uważnie i powiedział: -"wiele lat na świecie żyję, ale czegoś takiego nie widziałem". Zajął się mną; kiedy się już ubrałem, to poprosił, żebym został u nich na kolacji; chciałby zobaczyć, jak żona i córka zareagują na mnie. Więc bawiłem obie te panie przez całą kolację, nikt się nie domyślił, a on miał ogromną uciechę, że mnie nie rozpoznano.

Pewnej nocy szarpnęła mnie pani Wojnicka za ramię. Okno było otwarte; wyrzuciła mi pistolet przez okno i krzyknęła "magiczne" słowo: -"NKWD !". I wypchnęła mnie na schody w koszuli nocnej. Już nie ryzykowałem zejścia na dół, tylko bosobiegłem na strych i schowałem się za kominem. W kilka

sekund później, z obu stron, NKWD wkroczyło do mieszkania, przez które wcześniej, jak wiedziałem, przewinął się Reiff i jego koledzy. Połowa UBK, która ocalała z rozbrojenia, przeszła przez mieszkanie państwa Wojnickich; ono było już spalone. Nie mówiąc o tym, że "zjedli" wszystkie pierścionki, całą biżuterię, która poszła na zakup kaszy i prowiantu dla t y l u ludzi. Siedziałem za kominem do świtu, potem na palcach po śniegu - już była zima - za plecami żołnierza, stojącego na warcie, nura dałem w jakąś dziurę w murze, na ulicę... Ludzie szli do pracy, a ja w koszuli nocnej biegłem boso po śniegu. Do następnych znajomych, których miałem adres.

Tam mnie ogrzali, odchuchali, skompletowali mi znowu ubranie i zawiadomili komendę AK, która się uformowała ponownie w Wilnie, dobrze zakonspirowaną, że jestem "na lodzie". Był problem, co ze mną zrobić? Miałem już dokumenty na Zofię Kołpajło, córkę Mieczysława, ze wsi Krasula. Sądzę, że panowie w tej naszej komendzie mieli dobry ubaw, ponieważ proponowano różne warianty. Na przykład klasztor. Więc przypomniał mi się "Dekameron" i wilk w owczarni; nie wiem, czy bym się nie zgodził, gdyby nie to, że okazało się, że nie miałem być zakonnica, tylko miałem w k u c h n i pracować, jako służąca. To mi absolutnie nie odpowiadało; nie był to w ogóle jakiś nośny temat literacko, przygodowo, tylko p o p r o s t u kuchnia. Nie można by było się dziś nawet pochwalić. Wobec tego wyznaczono mi lokum pod schodami, "swój" dozorca miał klucz. Był to kolejny dowcip kolegów - oficerów, ponieważ to była kwatery łączniczek, które przychodziły z terenu i tam nocowały. Zastawały "koleżankę"; potem bardzo bacznie obserwowano, jaka jest reakcja, jak to z

ta "koleżanka" tam było.

Wreszcie... był dylemat, co robić dalej? I to był punkt zwrotny. Bo oczywiście mogłem ze swoją Kennkartą - to był jeszcze dokument niemiecki - pójść na pociąg repatriacyjny. Na dworcu kobiet to w ogóle... nikt się nie interesował, jak był młody człowiek, to jeszcze. Wsiąść do pociągu, pojechać do Białegostoku i dalej, wrócić do kraju. No i tu widocznie mój charakter, który przysparzał mi sporo kłopotu zawsze w życiu, zdecydował o tym, że ja postanowiłem do końca zostać na Kresach.

["Do końca" - to znaczy do czego?]

Koniec był łatwy do przewidzenia - to było to, co ja nazywam "Hubalczycy Wschodu". Koniec był taki nasz, naszych oddziałów t a m , jak i Hubala. Jest pełna analogia sytuacji.

Skierowano mnie do oddziału "Tura". Była to brygada, która nie zdażyła na koncentrację pod Wilno, została w polu, z tym samym dowódcą. Nawet się wzmocniła przez wchłonięcie rozbitków, po rozbrojeniu. Dostałem dokładny punkt spotkania z tym oddziałem. Szło nas bodaj, że trzech czy czterech, po drodze jeszcze jakąś furmankę Rosjan żeśmy rozbroili... Dołączyliśmy do tego oddziału. Był ranek. Zostałem mianowany dowódcą plutonu. Ale jak zobaczyłem to wojsko, te sanie, że dowódcą jest zawodowy oficer ... Mieliśmy zły stosunek do wojskowych, tych, którzy trzymali się szablonów. Partyzant to jest t a l e n t określony, a nie wykształcenie. Od razu doszedłem do wniosku, że dni nasze są policzone; oddział tak dowodzony, tak liczebnie duży nie jest w stanie w obecnych warunkach, jeszcze zimowych, absolutnie przetrwać. W związku

z czym (dziś nie byłoby to nic niezwykłego) nie ostrzygłem się, zaczesalem włosy pod furazerkę, szmaty, w których się dawniej po wsiach przechowywałem, zapakowałem do chlebaka i przejąłem swoich trzydziestu ludzi z sanitariuszką, w całym komplecie.

Posuwaliśmy się w kierunku - od Wilna - południowym, ale bardziej na wschód. Po drodze zdarzały się potyczki z wojskami NKWD, z miejscową milicją, ale nie było to nic poważniejszego. Zupełnie wyraźnie było jasnym, że przeciwnik nas obserwuje, ale unika decydującej rozprawy. Była to bardzo ciężka zima. Ja wyszedłem z Wilna dokładnie na Sylwestra 45 roku. Pełnia ostrej zimy. Po drodze dołączył do nas, jak słyszałem, jakiś Rosjanin, dezertor. Był problem, czy nie jest to szpieg. Sprawdzono go, nie był szpiegiem. Podobno pochodził z polskiej rodziny, był *bezpryszornym*, w domu dziecka. Nazywał się (już po tym domu dziecka) Jurij Kalinin, podobno dawniej Dębowski. Przeszedł rosyjską drogę, od klęski 41 r., kiedy generałowie wsiedli na samoloty i odlecieli do Moskwy, a dywizje poszły do niewoli. Trafił do niewoli, gdzieś w rejonie Kijowa, został wyreklamowany z obozu, ponieważ był malarzem. Rysował bardzo ładnie i podobno pracował w teatrze jako dekorator, więc poza obozem. No ktoś chciał tam umierać z głodu?! Kiedy armia radziecka wróciła, to się lojalnie zameldował z powrotem do wojska, jako *mładszy lejtnant* i oczywiście został jako zdrajca ojczyzny, w drodze łaski, wcielony do batalionu karnego. To byli straceńcy; rzucili ich gdzieś tam na Prusy Wschodnie. Nie chciał umierać, młody chłopak, zdezerterował, przyłączył się do nas.

Rosjanie wiedzieli o tym, że jest u nas taki człowiek i szalenie sobie na niego zęby ostrzyli, że go dopadną

wreszcie.

Ten marsz niczym szczególnym się nie wyróżniał. Noc, dzień, sanie, ślad szeroki, przetarty, po nas. Potyczki jakieś drobne... Trwało to prawie miesiąc, Od Nowego Roku do 29 stycznia. Z 28 na 29 stycznia [1945 r.] przypadło mi prowadzić szpicę. Z mapy wytyczono szlak i tym szlakiem ja prowadziłem. Znaleźliśmy się w rejonie, w którym partyzant nie powinien się znaleźć - gdzie ludność była wroga, ludność białoruska, i gdzie nie było lasu. Podobno miał być jeden postój t a k i , a potem już znowu las. Ale tego lasu już nigdy więcej nie było, wystarczył ten jeden postój... Rankiem znaleźliśmy się w otwartej przestrzeni, koło Nowogródka, we wsi Rowiny, koło Korelicz.

Później mi stawiano zarzut, że ja nie t a k poprowadziłem... Prowadziłem tam, dokąd miałem poprowadzić... Ze przeze mnie żeśmy ...Usiłuje się zawsze kozła ofiarnego znaleźć. Nasz los był przesadzony, byliśmy śledzeni na całej trasie. Dokładnie wiedzieli, ilu nas jest, dokąd idziemy, nawet wiedzieli, że jest Rosjanin u nas. Tak daleko ich wywiad sięgał.

Kiedyśmy weszli do tej wsi - już sama nazwa wskazuje, to były wąwozy na równinie, zbiegające się centrycznie - zostaliśmy otoczeni. Już rankiem odezwały się pierwsze strzały. Oni mieli samochody ciężarowe, ciężką broń; było podobno około 4 tysięcy ludzi. Nie mieliśmy żadnych szans.

Rozpoczęła się walka, w której 86 bodajże z nas zginęło, gdzie każdy widział tylko swój odcinek, swoich kilku żołnierzy najbliższych, ponieważ ta wieś rozgałęziona w wąwozach uniemożliwiała kontakt między grupami walczącymi. Gdzieś tak o zmierzchu już zobaczyłem, że jest sanitariuszka,

jest jeden żołnierz i ja. Z plutonu - czy inni zginęli, czy się rozproszyli, nie było wiadomo. Jesteśmy na wysuniętym posterunku, gdzie te wąwozy kończą się jakimiś krzakami i równiną. I potem znowu jakieś zagłębienia. Wtedy wyskoczyłem do przodu, za mną jeszcze ktoś, ostrzeliwując się zobaczyłem czmychających na prawo i lewo żołnierzy i przedarłem się przez pierścień okrażeń. Wpadłem w kolejny wąwóz... jakaś chata, jakaś stara kobieta, stół, chleb, wianki cebuli nad piecem... Kazałem jej momentalnie się rozbierać, zacząłem zdejmować z siebie mundur. Pamiętam, miałem dużo fotografii; rzuciłem te fotografie, pistolet maszynowy...Rozebrałem tą kobietę, miała łapcie dziurawe beznadziejnie... Ona nawet ochoczo, widząc dobry mundur i to wszystko... nie bardzo się sprzeciwiała. Od razu ściągnąłem cebulę z pieca, pół chleba ze stołu i z koszykiem, w łapciach, zawinięty chustą, wyszedłem za próg. Znalazłem się na szlaku. Obok jechały sanie, wieźli zabitych, szły wojska. Robi się coraz ciemniej.

Już było zupełnie ciemno, kiedy wyszedłem za wieś. Zupełnie nie znałem kierunku, nie znałem terenu, ani mapy. Nie miałem żadnego pojęcia, gdzie się znajduję. Było 30 stopni mrozu tej nocy. Niebo było roziskrzzone gwiazdami. Spojrzałem na te gwiazdy i stwierdziłem, że to jest ostatni dzień wolności. Choć nie było ku temu jeszcze żadnych konkretnych przesłanek. Nie można było dłużej zostawać na otwartej przestrzeni, ponieważ byłem za słabo ubrany. Odmroziłem sobie wtedy pięty.

Gdzieś w dali zabłysło światełko. Poszedłem na to światełko. Gdy doszedłem, okazało się, że jest to chata. Wszedłem, odezwałem się; nikt mi nie odpowiedział. Mówiłem po polsku, tam byli Białorusini. Wrogość wyraźna. Za chwilę

zaskrzypiał śnieg, podjechały sanie, otworzyły się drzwi, weszli Rosjanie, z karabinami. Spyтали o posterunek milicji. Okazało się, że jestem nie we wsi, nie w osadzie, tylko w miasteczku. Korelicze. Wtedy mieszkańcy tej chaty powiedzieli, że to jest jakaś obca kobieta, *biełopalaczka* pewno. Zabrano mnie, ale bez specjalnych emocji; kazali mi iść i koniec. Poprowadzili ze sobą, nie było żadnych możliwości ucieczki. Im dalej, tym bardziej to było miasto - lepsze domy, światło elektryczne, wreszcie posterunek milicji, który był centrum dowodzenia w tym momencie, gdzie zbierały się wszystkie nici tej operacji.

Kazali mi siąść na ławce. Co chwilę wbiegali jacyś wojskowi... W pewnym momencie, kiedy siedziałem na ławce, wszedł major, w kożuchu, białym, eleganckim, w czapie. Było widać, że jest to wyższy wojskowy. Podniósł słuchawkę telefonu, zakręcił korbką i powiedział: -"*Zdies' major Panomarienko, towariszcz gienierał...*" Złożył meldunek, wymieniając liczbę zabitych po ich stronie - bodaj że było to czterdziestu kilku, nie pamiętam dokładnie. Po tym krótkim meldunku powiesił słuchawkę, odwrócił się, spojrzał na mnie i powiedział: -"*eto kto?*" do milicjantów. Oni odpowiedzieli. On: -"*Snimi płatok.*" Więc ja odkręciłem ten szal, rozwinąłem go, włosy się rozsypały, jeszcze grzebień miałem aluminiowy we włosach... I on poszedł. Czyli: był ślad podejrzenia, ale włosy go zmyliły jednak. To mnie wyratowało, kilka razy.

Wtedy oni mnie już zauważyli ponownie. Otworzyli luk do piwnicy i kazali mi po drabince zejść na dół. Znalazłem się w kompletnych ciemnościach, w jakimś lochu.

Zacząłem obmacywać ściany i znalazłem stertę worków. Zacząłem rozwiązywać te worki; okazało się, że są to

przesyłki - paczki dla więźniów, aresztowanych po wsiach. Przywożono ich i rodziny przynosiły paczki. Wspomniałem sobie wszystko, co kiedykolwiek w życiu swoim młodym przeczytałem o więzieniach, a szczególnie o więzieniach Cze-ka (kilka takich książek przed wojną wpadło w moje ręce). Nawyciągałem ile się dało słoniny, cebuli, chleba, za pazuchę powpychałem. Rankiem skrzywnął ten luk, zszedł ktoś na dół, otworzył zamek i wepchnął mnie do celi, do piwnicy. Zamknął drzwi, było zupełnie ciemno. Usłyszałem płacz...

To były nasze dziewczyny [z oddziału]. Odezwałem się, okazało się, że jedna z nich to jest "Lilka" - Jadzia [Pawlukowska] obecnie, "Ewa", "Liza" i "Baśka".

[mała przerwa w nagraniu; autor relacji umówił się z nimi co do sposobu zachowania się całej piątki, żeby nie zostać zdemaskowanym]

- Która mi da stanik? I pamiętajcie o tym, że ja jestem zawsze na końcu; idziecie naprzód i osłaniacie mnie.

Jak najmniej ryzyka wtedy. Pierwsza kontrola, pierwszy przegląd, pierwsza rewizja - pójdzie na pierwsze [osoby]. Tak żeśmy ustalili.

Okolo południa z tego lochu nas wyciągnięto, kazano wyłazić. Podstawione były furmanki, samochody. Widziałem Kalinina pobitego okropnie. Załadowano naszych żołnierzy wziętych do niewoli, nas i zawieziono do Nowogródka. Tam nas rozdzielono; myśmy w piątkę znalazły się w budynku NKWD. W normalnym biurowcu, na drugim bodajże piętrze. Kazano nam siadać na korytarzu i tytułowano per *biełobanditki*.

[Czy oni wiedzieli o tych dziewczynach, kim one są?]

Tak, one były wzięte na polu walki. Oprócz mnie. Ale

siłą inercji...

Siedzieliśmy w piątkę na tym korytarzu NKWD. Pierwsze przesłuchania - ja podaję wersję, że jestem ze wsi Krasula, brat jest bez jednego oka... Wszystko to zgadzało się z rzeczywistością, dziewczyna była wywieziona na roboty do Niemiec. Ja jestem tą dziewczyną, uciekłam z Prus Wschodnich. Tu była jakaś bitwa i ot, zabrali mnie, i koniec. Nazywam się tak i tak. To zostało podobno później sprawdzone i się pokryło mniej więcej; bardzo szczegółowo widocznie tam nie szperali.

Wtedy nas zabrano i poprowadzono pod więzienie. Mury z czerwonej cegły, więzienie przedwojenne, trzypiętrowe, potężne bramy. Ale było to po godzinach urzędowania, więc wpuszczono nas i prosto do łaźni. Przyszedł jakiś więzień w drewniakach, starszy, zaprowadził nas pięć... W trakcie przygotowywania kompieli rozdał tzw. szajki - drewniane misy. Zawołał którąś z dziewcząt, ona poszła, za chwilę wróciła bardzo zakłopotana, nie chciała powiedzieć w ogóle o co chodzi. Potem poszła druga, wróciła jeszcze bardziej zakłopotana. I wreszcie dopiero Lilka mówi:

- Co wy nie chcecie powiedzieć, o co chodzi! On proponuje, że przyniesie wiadro kartofli i jeszcze coś, bo potrzebuje dziewczyny.

Zadna się nie zgodziła. Za chwilę troszkę się odprężyły i zaczęło się naśmiewanie nade mną, że m n i e nie zaproponował. Był to w gruncie rzeczy dobry człowiek, przyniósł to wiadro kartofli, mimo wszystko, i wpuścił nas do łaźni bez żadnych ceregieli. Uruchomił piec do dezynfekcji, powkładał rzeczy. Myśmy właściwie spędziły do rana czas w tej łaźni, bo nie miał nas kto stamtąd zabrać. Kolejność jest

taka, że potem jest rewizja szczegółowa i później dopiero do celi.

Rankiem przyszedł strażnik, poprowadził nas na najwyższe piętro, jakiejś wieży chyba nawet. W pokoiku siedziała młoda kobieta w mundurze NKWD. Drzwi się zamknęły, strażnik wyszedł. Powiedziała: - *Dziewczata, rozdiewat'sia*. Wszystkie na raz się zaczęły odpinać, wtedy ona: - *Niet, po oczeredzi!* Wtedy czekały cztery, jedna się rozebrała, jak ją Pan Bóg stworzył, odzież została zrewidowana szczegółowo. Kazała przysiąść, wstać, podnieść ręce do góry, kazała się ubrać. Następnie druga... A ja czekałem na swoją kolej, ostatni.

Po zrewidowaniu drugiej powiedziała: -*No, Tadno* - i spytała: - *Metaliczieskije przedmiety jest'?* Więc ja wyjąłem skwapliwie swój aluminiowy grzebień z włosów i oddałem jej, jako, że jest to metal. Ona wzięła grzebień, otworzyła drzwi na korytarz i krzyknęła: - *Nadzieratiel!* Zgłosił się strażnik i poprowadził nas piętro niżej.

Na drugim piętrze... Był to ranek, podłogi wymyte. Wszedł między nas takim klinem i powiedział: - *Tri na lewo, dwie na prawo*. Dwie to była Lilka, czyli Jadzia Pawluk^{owska}~~iewicz~~ (którą widzieliśmy przed chwilą) i ja. Otworzono drzwi; podłoga była umyta, naokoło siedziało dwadzieścia kilka kobiet, na tobołkach, na rzeczach zwiniętych, czekały, aż podłoga wyschnie. Pierwsze pytania, bo to z wolności, więc "co słyhać? co się dzieje?" "kto?" "za co?" - sakramentalne pierwsze pytania. Byliśmy w tej celi dwie noce, może trzy, może więcej; trudno dziś określić. Wreszcie wyprowadzono grupami wiele kobiet na dziedziniec; co najmniej 150 kobiet. Przez tłum przedarł się ten z łaźni i jeszcze przyniósł nam bochenek chleba. Wyprowadzono kolumnę do pociągu, do

wąskotorówki, między Nowogródkiem a Baranowiczami. Załadowano do wagonów. Tam nikt nie wiedział, co to jest sąd, czy sądzą, czy wywożą od razu, czy szczegółowo każdego... Myśmy nic nie wiedzieli o tym systemie, że w tym kraju było z góry zaplanowane, ile jajek kura zniesie i każde zostało policzone. Nie mówiąc już o ludziach, ich myślach i czynach.

Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy. Pociąg się zatrzymał w Baranowiczach, otworzono drzwi i padło: - *biełobanditki, wylezaj!*. No więc nas pięć...

[Tylko pięć było?]

Tylko pięć nas wyładowano w tym momencie, nie wiem, co było dalej. Zresztą były to momenty wielkiego napięcia, niepewności. Popędzili nas prosto pod więzienie, widoczne z daleka, olbrzymie więzienie w Baranowiczach, przedwojenne, też z czerwonej cegły. Do wrót, furtka skrzypnęła, wprowadzono do środka. Pierwszy pokój, taka mała salka. Pojawiła się kobieta w białym fartuchu, powiedziała:

- *Ja wracz. Sanosmotr. Woşy jest'?*

Już nie pamiętam, jaka była odpowiedź, ale chyba twierdząca. Spojrzawszy na mnie spytała: - *A wy nie bieriemienna?*

Więc zmartwiałem oczywiście w tym momencie, ale przecząco pomachałem głową i to było wszystko. Zawołano znowu strażnika i przez podwórze poprowadzono nas do łaźni, która przyklepiona była do muru, od strony linii kolejowej, co miało istotny wpływ na pewne wydarzenia, które potem nastąpiły, bowiem grupa więźniów zbiegła, wykonując podkop, z łaźni. Na czele tej grupy stał chyba lotnik radziecki, major. Potem złapany jednak; mieli bardzo długie ręce już wtedy.

Tam były grupy doprowadzone z miasta, świeżo aresztowanych. Była to w dużej mierze inteligencja, żony urzędników polskich i oficerów, rodziny. Obsługa to byli więźniowie w drewniakach. Harmider, paru oficerów kazało się rozbierać, tych pań było chyba jednocześnie 30 - 40. Doszło do szamotaniny, nie chciały się rozbierać... Do tej salki przszniców - pełno było pary - wpuszczono je niezupełnie rozebrane, ja w tym tłumie. Pamiętam, że ze zdenerwowania - akurat chleb rozdali - zjadłem cały od razu. Minęło bez żadnych emocji.

Od razu nas oddzielono i zaprowadzono do celi o niskim numerze, 3 czy 4 chyba, w której później siedziałem skazany na karę śmierci. Była to malutka celka. Zostałem sam na sam z tymi czterema naszymi dziewczynami. W widnej celi, nic tam nie było, żadnych prycz, tylko beczka na nieczystości i koniec. Minęła jedna czy druga noc, ja oczywiście zacząłem wyróżniać jedną z nich - nie można wyróżniać wszystkich. Zaczęły się pewnego rodzaju dąsy, kwasy. Po paru dniach ja doszedłem do wniosku, że już nie wiem, czy nie lepiej by było, żeby mnie wreszcie rozstrzelali. Przypominam sobie dokładnie. Niewielu chyba to się udaje widzieć kobiety bez osłonek w sensie psychicznym kiedy są same w grupie, kiedy nie ma mężczyzn. Wydało mi się, że byłaby to najśroźsza kara, jeżeli by to dłużej trwało, niż w moim przypadku; można by było tego nie wytrzymać.

Ale po paru dniach znowu zgrzytnęły zamki i "wrzucono" dalszą grupę kobiet, jak się okazało jeszcze nie mytych, tzn. bez dezynfekcji, bez łaźni. Tak było ciasno, że kiedy wchodziła ostatnia, to nie można było drzwi domknąć. Zobaczyłem ładną dziewczynę w mundurze, z tobołem,

pierzyną... Już było trochę głodno. Instyktownie się posunąłem, ona przykucnęła. Bardzo szybko dowiedziałem się, że jest Masza czy Sonia, czy inaczej; jest enkawudzistką, była *naczelniczką pasportno stoła* pewno w jakiejś pomniejszej miejscowości. Oskarżono ją o jakieś niedociągnięcia i znalazła się za kratami, już bez odznaczeń wojskowych, ale w mundurze. Przedstawiła się od razu z imienia, bardzo była serdeczna, rozpakowała wiktuały i "przyklepiła się" do mnie. Zostałem niejako rozdzielony od naszych dziewczyn.

Wkrótce znowu zgrzytnęły zamki. - *Wsie w baniu!* I my, ponieważ miałyśmy kontakt z tymi z zewnątrz - znowu do kąpieli. Ta mnie nnie odstępowała. - *Sonieczka, Sonieczka, paczemu ty nie rozdzielajeszsia?* Już nie było żadnego przymusu; po prostu trzeba było umyć się, a ja miałem problemy. Musiałem jej umyć plecy. Nie mogła zrozumieć... Brudas pewnie jestem i tyle.

Był to problem; ja sobie myślałem, że rozstrzelają mnie na pewno i mieć kobiety nie będę nigdy w życiu. Ale znowu, myślę, enkawudzistka - zdradzi. A może mnie nie rozstrzelają? Cała noc była w rozterkach. Ale wkrótce nas rozdzielono i znalazłem się w celi ogólnej.

Wepchnięto nas kilka do celi, gdzie było około 60 może nawet kobiet, prycze. Na górnej pryczy urzędowała - nie pamiętam, jak miała na imię, ale herszt, starsza celi. Cała wytatułowana w nieprzyzwoite obrazki, w skąpej bardzo odzieży (tam było bardzo ciepło). Miała obok siebie tzw. *sześciorki* - gwardię przyboczną posługaczek. Jeżeli przychodziła paczka, to było tak: słoninka nam, sucharki wam. Zabierały wszystko; nie daj Boże jakiś sprzeciw, to tak dostawała, że jej się odechciało. Pamiętam, że też było mało miejsca i jakaś pani

się posunęła i dała mi znak, że -"może tu?" Wpełzało się na te nary, były dolne i górne - ja i Liza, jedna z naszych dziewcząt. Prędko się okazało, że ta pani jest żoną oficera AK, ja ją znam - nie przyznałem się do tego; znałem jej męża, widywałem ją w sztabie. Obok było przystawione łóżko, na którym jakaś młoda kobieta spała. Było od razu widać, że bandytki jej nie ruszały, ona nawet jadła czekoladę; była zaprzyjaźniona z tą obok śpiącą panią. Kiedy przyniesiono zupę, stanąłem w kolejce z miską glinianą; zupę rozdawała herszt. Spojrzała na moje łapcie i naląła mi samej wody z wierzchu. Chwilę się zawahałem i dostałem czerpakiem po głowie. Więcej już nie próbowałem okazywać niezadowolenia.

Pewnego dnia się przyznałem tej pani, kim jestem. Ona sobie wtedy mnie przypomniała. Była niby człowiekiem pewnym, ale nie wytrzymała i zdradziła ten sekret śpiącej na [oddzielnym] łóżku sąsiadce, która była za to aresztowana, że była kasjerką w banku. Jej szczególna pozycja polegała na tym, jak się później okazało, że miała kochankę enkawudzistę na wysokim szczeblu, były tam prawdopodobnie wielkie pieniądze z tego banku, przechowane; ona wyszła z więzienia.

W nocy, w pewnym momencie budzenie: - Chodź do mnie!
Liza mówi: - Idź!. - Chodź bo będę krzyczeć! A ja: - nie! I nie poszedłem.

Co kilka dni byłem wzywany na śledztwo. Oficer, pokoik, rozmowa w cztery oczy. Wszystko mi szło gładko, nie było żadnych podejrzeń; widziałem po jego oczach, że wszystko normalnie idzie. Raptem zostaję wywołany. On chodzi zdenerwowany po pokoju. Już byłem przygotowany, że jest po wszystkim. W pewnym momencie odwraca się i krzyczy:

- Ty k t o ?

Najspokojniej w świecie, cichym głosem odpowiadam:

- Lech Kożuchowski Mieczysławowicz z Warszawy.

Ten wariant miałem przygotowany; Leszek Kożuchowski to był mój cioteczny brat, mieszkał Hoża 66, był bardzo dzielny. Myślałem, że zapewne zginął w Powstaniu. Chciałem zostawić ślady po sobie, więc podałem imię ojca - Mieczysław - rzeczywiste, podałem rzeczywistą datę urodzenia; kiedyś może zostanie ten ślad, tak, jak po tych z Katynia, czasem szmatka, czasem fotografii strzęp. Było to przemyślane.

On zaczął wrzeszczeć strasznie - co ja mu zrobiłem?! Krzyczał: - *Moje ordinama i pagony !!*. To znaczy, że go zdegradują. Ale nie uderzył mnie. Wyleciał na korytarz, kazał mi wychodzić. Zaciągnął mnie do gabinetu komendanta więzienia. Wepchnął mnie tam, gabinet był umeblowany pięknymi meblami poniemieckimi, z pięknym dywanem, i krzyknął: - *Major, kto eto ?!!*

A on mówi: - U mnie dwa tysiące bab, skąd ja mogę wiedzieć?

A ten: - *Da niet, da eto muzyk !*

Ten dopiero, jak do niego dotarło, zaczął się strasznie śmiać, nie widział w tym żadnej rozpacz. A ten był zrozpaczony o swoje pagony. Zrobiło się zbiegowisko, zaczęli przychodzić inni oficerowie. Wtedy ten mi powiedział: - *Razdziewajście*. Ja na tym dywanie, jak Bóg mnie stworzył, i wtedy któryś z nich uderzył mnie kluczami po ramieniu. I to było tylko tyle.

Zaczęła się narada. Kazał mi się ubierać, zresztą ten komendant zachowywał się ... kulturalnie. Pytał, gdzie jest wolna cela, czy karcer jest wolny? - Nie ma karceru, zajęty, celi nie ma żadnej, więzienie napchane. Wcale się tym nie

przejął, powiedział:

- *Abratno w tu że kameru.*

Więc z powrotem do pań. No, ale wiedziałem, że to na pewno nie będzie na długo, że się coś tam zwolni. Powiedziałem, one nazbierały sucharków mi na drogę, żeśmy się pożegnali. Za chwileczkę znowu klucz zgrzytnął, drzwi się otworzyły, stanął strażnik z dziwnym uśmiechem. Przeczytał:

- *Sofia Kojpajło Mieczysławowna s wieszczami!* - formułka sakramentalna. Wtedy zwinąłem swoje tobołki, wyszedłem. Kazał mi położyć to przy drzwiach, wszedł do celi, wziął się pod boki, powiedział:

- *No wot, durnyje baby, u was był muzyk!*

Cisza najpierw, po chwili ta bandytka zrozumiała, co to jest, zeskoczyła i - tam był taki duży piec - o ten piec głową tłukła z rozpacz, że ona nie wiedziała. A ja patrzyłem na te łapy; myślałem sobie, jak bym w te łapy trafił...

Drzwi się zamknęły. To był koniec mojego damskiego wcielenia. Zaczęło się dalsze śledztwo. Oni nastawiali się, że mnie prześlą do więzienia NKGB. Pewnego dnia zabrali mnie, dwóch żołnierzy, teczka akt. Popędzili do miasta, w kierunku Baranowicz, gdzie było więzienie NKGB, czyli *Gosudarstwiennoj Bezopasnosti*. Wiadomo było, że katują, stosują metody gestapowskie itd. Zaczęło się to, co Rosjanie mówią "napisziesz pierom, nie wyrubisz toporom". Oddali przez okienko moje akta na Zofię Kojpajło. Strażnik to wziął, za chwilę wyrzucił akta i powiedział, żeby nie robili mu żartów - przyprowadzili mężczyznę, a tu jest kobieta; nie dał sobie nic wytłumaczyć. Wobec tego nocowałem w *kapeze* - *kamera przedwaritielno zakluczenia*, gdzie t a k i przestępca absolutnie nie powinien się znaleźć. Następnego dnia

powtórzyła się ta sama historia. Dopiero trzeciego dnia powołano komisję, na czele z pułkownikiem *medycynskiej służby*; rozebrano mnie, obejrzano, wystawiono akt, że była [kobieta], a jest teraz Lech Mieczysławowicz [Kozuchowski], *nastajaszczycy muzyk*, i poprowadzono już teraz na pewno, dokumenty były w porządku, do więzienia NKGB, gdzie jednak mnie nie przyjęto, ponieważ to wszystko im się nadal nie zgadzało. I moje żebra ocalały, nikt mnie nigdy wtedy nie uderzył.

Śledztwo trwało w taki sposób, że siedziałem w garażu w *kapeze*, doprowadzano mnie do biura NKWD, tam miałem bardzo kulturalnego śledczego, który zaczął mnie uczyć rosyjskiego języka. Ale np. na ścianie wisiał pistolet maszynowy, a on wychodził do drugiego pokoju. Sądzę, że oni mnie próbowali. Tam była obok ulica, ludzie chodzili, to był środek miasta. Nie mogłem cały czas zrozumieć, co to jest *użyn*; on mówił, że idzie na *użyn*, zostawia mnie, tam jest worek kartofli, żebym ja wziął sześć kartofli dla siebie i sześć dla niego i w popiele w piecu upiekł przez ten czas. Jak wracał, rozkładał gazetę, zjadał kartofle, ja na drugiej połowie gazety swoje. Potem ze zdumieniem stwierdziłem, że *użyn* to jest kolacja, czyli on - oficer, po kolacji dopychał jeszcze kartoflami; żywili ich pewnie też nieciekawie.

Po zakończeniu śledztwa zawieziono mnie z powrotem do więzienia centralnego.

[Co oni wiedzieli o Panu?]

Wszystko. Wszystko wiedzieli o tym, co im było potrzebne. Wiedzieli, że byłem dowódcą plutonu, co mnie ustawiło od razu w hierarchii pierwszym po Kalininie, który

miał najgorszą sprawę jako zdrajca ojczyzny, dezerterski, "ich" człowiek. Potem byłem ja. A miarka była taka: pierwsi dostawali zawsze najwięcej, ostatni najmniej. To było z góry przesądzone. Z tego powodu, między innymi, nikt mnie nie bił, nic na mnie nie wymuszał, ponieważ wszystko było ...

[To znaczy znali Pana prawdziwe nazwisko?]

Nie. Nazwisko było zmyślone - Kożuchowski. Nie dowiedzieli się niczego więcej poza tym, co ja im chciałem podać, więc że byłem ranny pod Wilnem i byłem przy oddziale jako rekonwalescent. Zaprzeczałem, jakobym był dowódcą plutonu, twierdziłem, że w walce udziału nie brałem. Z bronią mnie nie wzięli. Ale to nie wiele ... Byli ludzie spośród kolegów, którzy widocznie stwierdzili to i to im wystarczyło.

Pewnego dnia wszystkich nas przywieziono do miasta, do jakiejś sali, gdzie był Wojenny Trybunał. Usiłowałem protestować, że nie znam języka rosyjskiego, że tłumacz, że to przysługuje i t.d., ale to było bez żadnego rezultatu. Szablonowa czynność, trwała bodaj, że dwa dni, i wyrok był taki : ośmiu pierwszych kara śmierci (spośród dwudziestu sześciu) i reszta 10 lat. W tym dziewczyny. Kiedy wyprowadzali nas z sali do tzw. *czornowo worona*, to jest taki więzienny samochód, instynktownie rozejrzałem się na boki, szukając drogi ucieczki (to było zupełnie beznadziejne). Zostałem uderzony w tył głowy kolbą nagana. Był to jedyny przypadek, że zostałem tam uderzony; to jest dość niezwykle. Ani w śledztwie, ani w więzieniu, również wliczając w to towarzyszy, nie zdarzyło mi się, żeby mnie uderzono.

Zawieziono nas z powrotem do więzienia i znalazłem się znowu w tej małej celi, w której razem z dziewczynami byłem,

tym razem ustawionej jako cela śmierci. Drzwi jak się za nami zamknęły, to otworzono je dopiero po miesiącu czy po dwóch tygodniach, kiedy przy ogromnej ostrożności, przy obstawie wielu strażników wyprowadzono nas do łaźni i z powrotem. Ale mój Jurka Kalinin miał tak doskonałą szkołę więzienną za sobą - więzienną, może to dom dziecka, losy *bezprizornowo* nauczyły go takiej przebiegłości, że udało mu się mimo to z łaźni skraść tzw. *kalco* - pierścień z drutu, na który zapina się odzież do dezynfekcji. Był to pręt, który po wyprostowaniu miał długość około 60 cm i, naostrzony, był śmiertelną bronią, bagnetem, podczas kiedy myśmy nie mogli mieć nawet igły, szpilki. Został przyniesiony do celi.

Mniej więcej raz na tydzień odbywała się szczegółowa rewizja. Wkraczał oficer, na każdego jeden strażnik, ubrani w białe fartuchy, i dokonywali szczegółowej rewizji - u nas, w celi, w której nie było nic poza beczką na nieczystości. I nigdy u nas nic nie znaleziono. Więzień zawsze góruje nad strażnikiem. Więzień jest nastawiony wyłącznie ... jego spostrzegawczość, przebiegłość jest tak wyostrzona, że potrafi zdziałać cuda.

Myśmy ten bagnet ostrzyli długo; powolutku, na progu. Jeden leżał, drugi chodził, wreszcie koniec był zaostrzony. Przy listwie podłogowej zaczęliśmy wiercić ścianę, która miała około 40 cm grubości, jak się okazało; również z izolacją, z papą. W rezultacie tego przebiliśmy się do sąsiedniej celi, w której siedziały, jak się okazało, dwie kobiety - Irka i Inka, żony oficerów polskich. Ta szpara była tak duża, że - jeżeli one się położyły po przeciwnej stronie - można się było obejrzeć. Zrobiony został tzw. szczur - kawałek szmatki, w który one kruszyły chleb i na naszą stronę

ten chleb był przeciągany. One mówiły, że mają paczki, ale okazało się, że oddawały nam swój własny chleb, swoje porcje więzienne. Tą drogą mieliśmy kontakt ze światem, codziennie wiadomości. I nigdy, żadna rewizja nie odkryła tego przebicia; ono było zalepiane chlebem, "pudrowane" wapnem.

Jurka bardzo źle znosił celę; wiedział, był pewien, że zostanie zabity, że nienawiść do zdrajcy ... Trzeba powiedzieć, że oni mieli rodzaj szacunku dla nas, a w każdym razie zazdrościli nam komfortu psychicznego, że myśmy wiedzieli, za co, byliśmy za jakąś s p r a w ę więzieni. Natomiast oni byli tak zbłąkani, ich los był największą niesprawiedliwością. Tracili życie, byli mordowani, więzieni, na skutek pułapki losu. Trafił do niewoli - jaki on miał wpływ, że trafił do niewoli [niemieckiej]? Miliony trafiły do niewoli. I to było powszechne, oni dawali temu wyraz.

Któregoś dnia kobiety myły korytarz, słyhać było ścierkę na drzwiach. W pewnym momencie wsunięta została karteczka. Natychmiast żeśmy ją podebrali; był grafit, bibułka czysta. Pisały dwie siostry, Zofia i Halina Bałchan, które prosiły o dane, kim jesteśmy, za co. Jurka odpowiedział po rosyjsku, ja po polsku. Przy myciu kolejnym drzwi kartka została podebrana i wiadomość poszła w świat. Zaczęła się między nami regularna korespondencja. Zaczął się flirt. Życie było, ja bym powiedział, życiem pełnym emocji, oczekiwań, przeżyć; te cztery ściany w odczuciu ... psychicznie nie istniały. Świat się poszerzył. Jurka umiał wszystko. Wziął się za malowanie na ścianach; brał z podeszwy gumę, malował półmiski z gęsią pieczoną, butelki szampana - wszystko było wycieniowane, doskonałe, malarskie. Wydobył z tzw. kosza (siatka na oknie) druciki, połamiał małe, zrobił igielki,

związał je nitką, spalił podeszwę, pomieszał z wodą i z cukrem, zrobił tusz i zaczął tatuować. Wytatuował mi na rękę datę wyroku śmierci - 25 lipca i trupią czaszkę; jeżeli by odkryto, żeby z n o w u był ślad skąd, kiedy, z jakiej daty ludzie rozstrzelani. W pewnym momencie była między nami konkurencja, odegrana została scena zazdrości o tą Halinę, która starała się dogodzić obojgu. Myśmy wyraźnie ustalili, że on musi być ochraniający i preferowany, ponieważ jego sytuacja jest najcięższa, on najbardziej potrzebuje wsparcia. I tak było.

Było bardzo głodno - 400 gram czarnego, zbitego chleba i raz czy dwa razy zupa i koniec. Pewnego dnia szczęknął zamek w *karmuszcze*, okienku, którym podają wodę i jedzenie i strażnik wywołał moje nazwisko. Trzeba wtedy odpowiedzieć imię ojca, data urodzenia i artykuł z jakiego się siedzi; w odpowiedzi krzyknął: - *Pieredacza!*. Paczka. Pomyślałem, że jakaś omyłka. Emocje były ogromne; otwieranie z zamka w dzień oznacza coś dobrego - w nocy, jak wiadomo, rozstrzelują, nigdy nie w dzień. Za tą zapowiedzią posypały się suchary, wysypane prosto przez to okienko na podłogę, potem jakiś gliniany garnek, wszystko przemieszane, straszliwie rewidowane. Były ciasta domowe, pokruszone na kawałeczki; coś niesamowitego po tej strasznej głodówce. Na koniec zwinięte spodnie wojskowe, polskie, zielone. Jak zobaczyłem spodnie, dopiero mi coś zaświtało, że to jednak jest dla nas. Okazało się, że Halina przemyciła w bieliźnie do prania moje dane i przyszła paczka dla mnie, pod cudzym nazwiskiem, z Warszawy; gdzie? jakim cudem? raptem otrzymuję paczkę. Od tej pory paczki przychodziły regularnie; myśmy nie tylko sami jedli, ale karmili kolejnych strażników. Dłuższy czas jeden ze

strażników był rodakiem, Jurka twierdził, że sybirakiem, możliwe, że miał polskie pochodzenie. Strażnik - więzień; był zwykłym żołnierzem, tylko rannym na froncie i wycofali go na rekonwalescencję. Bardzo się zaprzyjaźnił z Kalininem, długie rozmowy prowadzili. Były plany przemycenia broni z miasta, ucieczki ... Przynajmniej to podtrzymywało na duchu, cały czas byliśmy czynni.

Dokładnie na dwudziesty pierwszy dzień zgrzytnęły zamki, otworzono celę i wywołano czterech ludzi. Czterech ostatnich z listy. Wkrótce usłyszeliśmy ich głosy na korytarzu, jak roznosili zupę - oznaczało to, że zostali ułaskawieni. Wobec tego tej nocy żeśmy oczekiwali na wykonanie wyroku. Czterech ułaskawili, logiczne, że nas *n i e*, i kropka. Oni kazali pisać prośbę o ułaskawienie, ja nie pamiętam, czy napisałem, czy nie... Ale to i tak... Napisał naczelnik więzienia, formalność, nawet bez podpisu; tylko wymienił z urzędu. Myśmy nie znali tej procedury, nie wiedzieliśmy, co dalej. Było oczekiwanie, ale potem przyzwyczajenie, bo dzień, noc, dzień, noc i nic się nie działo. I tak upłynęło ileś dni i potem nas przerzucano do innej celi. I kontakt z Haliną na moment się urwał. Paczki nadchodziły nadal. Było nas w celi dziesięciu, może dwunastu, wszyscy skazani na karę śmierci.

Którejś nocy o godz. 23 odryglowano drzwi, oficer stanął w progu i wyczytał moje nazwisko, w momencie, kiedy ja do Haliny pisałem list. Zjadłem ten list momentalnie.

- *S wieszczami!* Noc. Kiedy przechodziłem obok dozorczy, który nas pilnował, szepnął mi: - *Wszystko charaszo*. Ale zaraz musiałem iść dalej. W końcu korytarza, koło klatki schodowej, stał taboret i tam stał jakiś oficer. Do niego podszedłem, powiedział: - *Podpisz!* Więc ja: - *Co mam podpisać?*

- *Dwadcat' liet tiebie radami upirat'sia .*

To znaczy tak, jak wół orze w jarzmie. Podpisałem. Wyszło za mną jeszcze tych dwóch - to samo. Znaleźliśmy się w celi, w której byli *u ł a s k a w i e n i*, już wcześniej, z wyrokami 15 lat katorgi, 20 lat. Katorgę Stalin wprowadził gdzieś w szczytowym okresie wojny, jako szczególną represję. Później katorgę zniesiono. Wtedy było najwyżej 20 lat katorgi, ale już dawano 25 lat *z w y k ł y c h*. Niewielka różnica, ale to jest bez numerów.

W tej celi oczekiwano się. Nie wiadomo zupełnie, myśmy nic nie wiedzieli, co oni robią z ludźmi. Po wywołaniu, wyprowadzeniu z więzienia, pod konwojem dwóch żołnierzy - mnie samego, z dobrym zapasem prowiantu, w nowych spodniach, odkarmionego, zdrowego, [zaprowadzono mnie] na dworzec, na peron. Peron był prawie pusty. Z głośników płynęła melodia "*Towariszcz, pojedem daleko...*" Wtedy sobie pomyślałem:

- *j a k d a l o k o ?* Jak to będzie *d a l o k o* ?

To była jesień. W lipcu nas skazali; 83 dni w tej celi śmierci. Potem jeszcze może dwa tygodnie, trzy w ogólnej celi i wtedy na etap.

Kiedy siedziałem pod strażą na peronie, w zielonych spodniach, po drugiej stronie, na drugim peronie przechadzał się polski oficer z armii kościuszkowskiej, z orzełkiem bez korony. Pogardliwie żeśmy to traktowali; niepełnowartościowy był ten orzełek bez korony. I ten Polak też był ... wątpliwy. On zorientował się, kim jestem, podszedł i spytał żołnierzy, czy może mi dać paczkę papierosów. Pamiętam, że jak on mi podawał, to ja plunąłem. Potem żałowałem tego, w gruncie rzeczy... Ale przypomniałem sobie w tym momencie scenę, którą opuściłem i która jest dość ważna. Otóż kiedy chowałem

się, przebrany za kobietę, ranny i jeszcze bardzo słaby, musiałem leżeć, odnalazł mi się jeden z kolegów z oddziału rozbitego, Karol...nazwisko mi uciekło... Kulikowski. Był synem adwokata wileńskiego, miał charakterystyczną cechę - zniekształcone któreś ucho, od urodzienia. On ocalał z bitwy, w mundurze, z bronią. Odnalazł mnie w tej chacie, leżącego na jakimś barłogu i naradzaliśmy się, co dalej. Ja mu powiedziałem, że zostaję, tak, jak - nie używając tego określenia - kapitan okrętu, który schodzi ostatni. Natomiast on - nic go nie wiąże i uważam, że powinien jechać do Polski. I że mam wiadomości, że w tej chwili jest w sąsiedniej wsi jakiś sierżant z armii kościuszkowskiej i mają podobno prawo zabrać trzech do armii i NKWD nie ingeruje, nawet jeśli to będą ludzie w mundurach i z bronią, z lasu. I że z tego należy skorzystać. On się zgodził. Został wysłany ktoś z miejscowych po tego sierżanta. Doszło do sceny, która byłaby warta Grottgera - kiedy spotkał się ten z orzełkiem z koroną (Karol był w pełnym mundurze) z tym drugim; ale byli to obaj Polacy. Ustalono określony plan i Karol z nim poszedł. Ja zostałem w tej chacie. I uratowałem się, gdzieś tam o nim słyszałem, podobno w Krakowie pracował.

Na peronie podstawili wagon "stołypiński", częściowo wypełniony gdzie indziej. Wepchnięto mnie do klatki, gdzie kilku więźniów się mieściło, i zacząłem jechać, w kierunku Moskwy.

W Moskwie, na Dworcu Białoruskim, wysadzono mnie i podprowadzono w nocy pod samotnie stojący wagon, który był strzeżony, warty stały. Otworzono drzwi i wepchnięto do środka. Wagon był pełen. Było zupełnie ciemno. Jakieś ręce zaczęły mnie obmacywać, worek błyskawicznie został gdzieś tam

wciągnięty... Powiedziałem: - Wody! Jakieś ręce wciągnęły mnie na górę, ale wcześniej poczułem na sobie jakąś lepka maź, kapiącą, ciepłą... Dano mi wody, worek znikł. Okazało się, że to była krew i że to był wagon *kapeze*, tzn. *kamera pridwaritielno zakluczenia*. Wagon, do którego milicja zwoziła "urobek" całej nocy, bandyckiej nocy Moskwy; gdzie byli ranni, bez opatrunków, bandytów rozmaitych, broni było pełno. I pakowano do tego wagonu. Sam kwiat bandyckiej młodzieży. Stamtąd dopiero przewieziono mnie następnego dnia na Łubiankę i potem załadowano do transportu, dołączono, idącego na północ i znalazłem się w Wołogdzie.

[Na Łubiankę czy na Butyrki?]

Nie, na Łubiankę. Niewiele mi zostało w pamięci, zresztą nic ważnego tam się nie działo. Po prostu etap i koniec.

W Wołogdzie nas rozładowano wszystkich. Była to twierdza carska, z kazamatami, z basztami. Myśmy byli w lochu, była sklepiona, niska; piwnice koncentrycznie schodziły się na baszcie. Tam hasały stada szczurów, leżały odpadki, można było zobaczyć po drugiej stronie innych więźniów cel, które schodziły się też koncentrycznie do tej baszty. Było tak ciasno, że nie można się było przewrócić z boku na bok samemu. To trwało może tydzień, może półtora. Pewnego dnia drzwi się otworzyły i wszedł oficer *kulturno - wospitatielnoj czsti* i oświadczył: - Kto chce napisać *pismo*? Po to, żeby napisać, trzeba mieć papier. Papieru nie miał nikt, ponieważ został doszczętnie spalony na skrętki, na machorkę. Mnie ocalał kawałek zatłuszczonego papieru, którego nie można było spalić, pergaminu. Nie wiedziałem, co z tym robić, ale ten

oficer był taki uprzejmy, że powiedział, że z tego trzeba zrobić *trochugolnik*, czyli trójkąt. Oni mieli taki sposób składania arkusza w trójkąt, ponieważ koperta była luksusem; na tym się pisało adres, na drugiej stronie tekst. Użyczył mi ołówka. I ja napisałem do matki Haliny, która mi wysyłała paczki, nie wierząc w ogóle, że coś podobnego... Nie wiem, co to było, kilka słów, znak, że żyję, że jestem. Proszę sobie wyobrazić - ten list doszedł! Ona go otrzymała, przesłała do Krasnojarska córce, która tam została zesłana, wiadomość, że był list ode mnie. Znowu jakiś ślad, sygnał, zupełnie niesamowity.

Koszmarne była ta Wołogda... Stamtąd jeszcze blisko miesiąc chyba jazdy, tak, jak wszyscy - śledzie, chleb, woda, bandyci, którzy grabili i sprzedawali strażnikom to, co zagrabili, ci im przynosili wódkę. To był mechanizm, znany z książki *Sołżenicyna*; w każdym przypadku był taki sam.

Kiedy przyjechałem na Workutę, to byłem jeszcze w niezłej formie i nie utraciłem sił, dzięki paczkom uzyskanych. Po drugie było to wielkie szczęście, w gruncie rzeczy, trafić na Workutę. Na Workucie n i g d y nie było takiego głodu, jak w innych obozach. Czy ze względów strategicznych, ze względu na ważność węgla północnego... Po drugie - już kości jako fundament komunistycznej budowli położyli ci z 37 roku, gdzie, mówiono, pod każdym podkładem leży jeden trup. Poza tym ten rodzaj przemysłu, który wymaga energii elektrycznej i techniki nie jest tak dla więźnia groźny, jak tajga, jak wyrąb lasu, bezpośrednia norma, zależna tylko od siły mięśni, gdzie z ludzi wszystko

wyciskano. Poza tym tu już jakiś fach, umiejętności. Ja skończyłem szkołę mechaniczną w Warszawie, pracowałem w Ursusie; mogłem robić niemal wszystko.

Nie zarejestrowałem momentu rampy, gdzie wyladują z transportu; od razu, tego samego dnia poprowadzono nas do kopalni. W grupie była duża część Estończyków, Łotyszy, Litwinów, jeszcze też w dobrej kondycji fizycznej. Oni mieli jeszcze sporo rzeczy, swetrów, rękawic ładnych. To od razu stawało się przedmiotem handlu - na machorkę, na chleb, te dwie rzeczy przede wszystkim. Tytoń, machorka była obiegowym pieniądzem.

Od razu do kopalni, przetaczać wagony. Nie dali żadnego ubrania, żadnego obuwia. Tam była woda, jak ludzie byli w wołakach, to w tą wodę... Ja ściągnąłem, na szyi powiesiłem. Znalazłem papier po amoniacie, po materiałach wybuchowych, przetłuszczony, druty od przewodów, poobwiązywałem sobie nogi. Jak skończyłem pracę, to włożyłem suche wołaki; byłem zupełnie inaczej przygotowany, niż ci ludzie, których od pługą wzięto albo z ciepłarnianych warunków. Przy oczekiwaniu na odprowadzenie, na konwój do obozu, odległość kilometra, to trwało czasami godzinę i dwie. Przy ogniskach, w warunkach mrozu czasem 30-stopniowego, więc poprzymarzały im do nóg te mokre wołaki...

Pierwszy raz znalazłem się w kopalni. Doszedłem do wniosku, że nie jest to miejsce dla mnie najbardziej wskazane i że należy zrobić wszystko, żeby tam nie być. Jak następnego dnia przepytywano specjalność, zawód, ja stwierdziłem, że jestem mechanikiem. Wobec tego przydzielono mnie do obsługi *skropera*. To jest urządzenie, które zgrzebuje na hałdzie węgiel. Pełźnie taka skrzynia z nożem na górę, jest rolka i

potem z powrotem wraca, ściąga węgiel. Rączkę naciskasz, idzie w górę, potem znowu - idzie w dół. Ale oczywiście jest to na mrozie; z tyłu płonie ognisko, pali ci się waciak, a tobie zimno. Dopiero jak cię dopiecze do skóry albo ktoś cię zgasi i waciaka już połowy nie ma... Nie było to najbardziej wesołe.

Zaczynam uczyć się obozowego życia. Przychodzi się do kuchni z puszką po konserwie amerykańskiej po tuszonce, złotej, na druciku. Dostawało się zupę i łyżkę kaszy. Ale brygadzysta albo ktoś tam inny, nie wiadomo z jakiego tytułu, podchodził z kociołkiem dwupiętrowym i dostawał pełno kaszy z tłuszczem. Padało pytanie do współtowarzyszy - dlaczego? Odpowiedź przeważnie była, że *nużno ɔtat imiet'*, czyli kumoterskie układy. Jak się robi *ɔtat*? Trzeba coś dać.

Pewnego dnia ja, widząc w tym okienku tylko ręce tego, kto rozdawał, wytatuowane, ale czerwone od mrozu, bo ciągnęło przy okienku, kupiłem u jednego z Estończyków rękawiczki. Nie zjadłem tego dnia swojego chleba, tę porcję poświęciłem na kupno rękawic. Wyprałem je, odzyskały cały blask, wzorek piękny, skandynawski, i wsunąłem temu przez okienko. On spojrzał na moją twarz, wziął i spytał:

- *A katieŁok imiejesz?*

Nie miałem. Wobec tego nałożył mi zamiast zupy kaszy. Ja następnego dnia znowu nie zjadłem chleba - byli tacy, co robili kociołki. Stałem się właścicielem dwupiętrowego kociołka, w którym się mieściło z kilo kaszy i dwie porcje zupy. Było to zrobione estetycznie, rączka, się zapinało... To był skarb.

Przez jakiś czas wyczekiwałem, kiedy jest mały ruch przy okienku, wstawiałem kociołek, otrzymywałem; prawie dwa

tygodnie. Aż pewnego dnia kociołek został zrzucony pusty - okazało się, że skończył się mój kredyt, mój kapitał. I trzeba było myśleć dalej.

Zaczął się handel. Przychodziły transporty, ludzie byli ubrani często normalnie. W pewnym momencie dokonywano selekcji albo wydawano odzież watowaną, już pociętą, z wszytymi katorżniczymi łątami. Albo należało zrobić to niezwłocznie, albo bardzo szybko wycinano, nawet w garniturze eleganckim, dziurę na łątę po to, żeby uniemożliwić w wypadku ucieczki posiadanie odzieży cywilnej. Tam były numery; katorga. Należało działać tak szybko, żeby kupić to, co jest nie pocięte, inaczej nie ma żadnej wartości. Zanieść na kopalnię i tam można to było sprzedać ludziom wolnym, za machorkę.

Doszedłem pewnego dnia do takiej sytuacji, że ja już nie chodziłem do pracy, ponieważ byłem w stanie opłacić brygadzystę, który wpisywał mi szósty kocioł i wydobył jakąś tam ilość węgla. Sam otrzymywałem tę drugą porcję, a ja się żywiłem na własny rachunek, już z tego handlu. Ale pewnego razu, ponieważ były w tym wahania, nie zawsze to się udawało; czasami bywały wpadki i trzeba było iść do tej pracy, trzeba było nawet pracować, trudno już dzisiaj wszystkie perypetie zliczyć. W każdym razie przy którymś takim wymarszu *nariadczyk* (który wyprowadza do pracy) spytał publicznie, czy ktoś by potrafił wyrzeźbić laseczkę dyrektorowi kopalni. Ten łażąc po hałdzie złamał swoją ulubioną laseczkę. Wtedy wspomniałem, że kiedyś byłem w Kazimierzu i tam były takie ciupagi rzeźbione; myślę - dlaczego by nie? Czego się nie robi dla ratowania życia. Powiedziałem, że ja zrobię.

- A czego ci trzeba?
- Nóż, miejsce jakieś, trzonek od łopaty nowy i jedzenie.
- No, zrobi się, nie wychodzisz dziś do roboty.

Dostałem w narzędziowni miejsce, dostałem pozwolenie na posiadanie noża, zacząłem. Ale odszedłem od koncepcji ciupagi, która tam nie była apropos i wyrzeźbiłem główkę - rączkę w formie lampy górniczej. Liść paproci jest elementem odcisku na węglu, [...] opleciony liściem paproci. Wszystko to podbarwiłem, potem lakierem (od elektryków dostałem bezbarwnego lakieru) i wyszła mi zupełnie oryginalna rzecz - górnicza laseczka. Została zaniesiona. Wrócił z zapytaniem, czy mógłbym papierośnicę wyrzeźbić?

Zażądałem tym razem dwóch tygodni na tą robotę i znowu w narzędziowni, w kąciku... Tym razem był to widoczek z reniferem na tle kopalni. I poszło, że ryszczyk. I od tej pory zaczęli się ubiegać o moje względy różni możni tego świata. Nie pozwalano mi zginać; nie pozwalano mi praktycznie pracować, tylko zawsze ktoś mnie wpychał w kącik, gdzie mogłem się nie namęczyć przy pracy, ażeby zrobić jakieś pamiątki oficerom. Ale mechanizmy biurokratyczne działają w taki sposób, że gdzieś jest ta miotła - obóz czy kopalnia stara się pozbyć tzw. *pridurków* (to jest ten, który "udaje głupiego"). Czasem bywało, że nie omijało to najbardziej potężnych, którzy tracili swoje pozycje. Z tym, że okazało się, że te właściwości są niezbywalne. To nie zależy od sytuacji; ktoś, kto umiał się znaleźć, znalazł się w każdej sytuacji, prędzej czy później wykaraskał się z perypetii. Ale kopalnia się pozbywała balastu. Mnie to zastało w bardzo nieszczęśliwym momencie, bowiem już wtedy nie chodziłem na kopalnię. Zatrudniałem ludzi, którym oddałem cały towar i

zostałem tylko w przepalonym wołaku, w dziurawym czymś i w bieliźnie. Jak by wrócili, to zaraz bym kupił, miałem machorkę. Byłem w tym momencie, być może, najbogatszym człowiekiem w obozie, nie wykluczone. W tym momencie zgarnęli mnie na etap. Wywołano, wyprowadzono, w tym jednym wołaku... Koniec. Wszystko przepadło. Byłem tak, jak bym się od nowa urodził.

Prowadzono nas do innego obozu, na kopalnię 29, było to parę kilometrów. Naokoło psy, karabiny, krzyki... I kiedyśmy się znaleźli na miejscu, natychmiast się zaczęła selekcja. Kto jak się potrafi urządzać, kto kim jest. Byli ludzie, których nikt się nie ośmielił posłać do łopaty.

Kopalnia 29 była nowa, jeszcze nie osiągnęła pełnych zdolności eksploatacyjnych. Zaprojektowana z rozmachem - wielki biurowiec, na dole były szatnie, suszarnie; całe piętro były służby geodezyjne. Dyrektor kopalni, naczelnny inżynier. Z klatki schodowej, paradnej, szerokiej, wychodziło się prosto w podwójne oszklone drzwi i tu wisiała tabliczka "Techniczeskij kabinet". A za drzwiami było pusto. Nowiutki parkiet, cztery czy pięć okien, grzejniki, wybielone ściany... Kiedy na to spojrzałem, to...

Zdaje się, że "przepuściłem" jeden etap... Tak. Po kopalni nr 7 znalazłem się na ^{SZU-2}~~całku~~. To były dwie wielkie kopalnie, 12 i 14 (13 pominęli, feralną). Tam poznałem Salomona Dikman. To był Żyd z Warszawy, miał bliznę na szyi z jakiegoś pogromu cenerowskiego na Uniwersytecie Warszawskim. W więzieniu nie zawsze się mówi prawdę o tym, kim się jest. Z tego, co mówił, to znał dwanaście języków, litewskiego nauczył się w trzy miesiące. Były lekcje wyższej matematyki - był tam jakies profesor, kto chciał, mógł przyjść, sobie

posiedzieć, w klasie szkolnej, gdzie bhp uczono. Dikman, który nie był żadnym matematykiem, siedział, patrzył, w pewnym momencie mówi: - Panie profesorze, a gdyby t a k ... I wyprowadził jakiś wzór. [Profesor] - Ależ to Nobel! Jak Pan do tego doszedł? Był to człowiek absolutnie nieprzeciętnych zdolności. Poza tym był kapitanem wywiadu angielskiego i wybitnym działaczem syjonistycznym. Była to postać niesłychanie tajemnicza. Zdaje się, że był delegatem Organizacji Syjonistycznej do wyciągania ze Związku Radzieckiego Żydów. W tym czasie Iran i Teheran był zajęty przez Anglików i Rosjan wspólnie; został porwany przez Rosjan. Prowadził tą działalność w ten sposób, że znaczących Żydów w obozach przesuwano do obozów bliżej granicy, na południe, tam napadali *basmacze*, jakaś banda i niby uprowadzała. Była to rozgałęziona siatka syjonistyczna na terenie Związku Radzieckiego.

Z tym się wiąże zupełnie nieprawdopodobna sytuacja. Z Dikmanem żeśmy się natychmiast zaprzyjaźnili. Ja byłem o wiele młodszy, o wiele mniej wiedziałem; on był zupełnie innej miary człowiekiem. Ustawicznie mnie ratował. W pewnym okresie był zastępcą kierownika planowania, którym był kapitan NKWD. W tym czasie gdzieś mi się podwinęła noga i znalazłem się w kopalni. Już byłem w takim stanie, że właściwie nie myłem się, nie zdejmowałem z siebie ubrania, miałem tylko łyżkę - *dłubankę* na zupę; byłem na tym poziomie, jak większość. Wiedziałem, że jest to koniec, po tej drodze... Były baraki na uboczu, w których była mniej więcej jedna trzecia stanu obozu. Byli ludźmi, jak to nazywano w Oświęcimiu "muzułmanami", wycieńczonymi, szkielety ludzkie. Była określona norma, którą oni dopuszczali; ci ludzie byli

na wymarcu, zostali skreśleni już. Dikman powiedział, że on może mi pomóc, ale muszę mieć 100 rubli. Jest taki Żyd w obozie, który dla niego wszystko zrobi, nazywa się Sztorchman. Sztorchman to jest oddzielna opowieść cała. Był to człowiek, który znalazł się w obozie i dowiedział się, że brakuje lekarzy, to podał się za chirurga i amputował ręce, nogi. Jak trzeba było inżyniera, to on już był inżynier - górnik, itd. Wszystko to robił z powodzeniem. Ludzie nie umierali, węgiel był wydobywany. W tym okresie "moim" Sztorchman był felczerem. Miał służbę, chodził w jedwabnym szlafroku, miał kochankę, która była wolną - była szefem kuchni szpitalnej. Sztorchman mógł wszystko. I Sztorchmanowi trzeba było zapłacić.

Sprzedziałem wszystko, z wyjątkiem duszy diabłu, bo żaden się nie nawinął. Sprzedałem na sobie, jak studenci sprzedają swój szkielet, i nzbierałem 100 rubli. Nie miałem już ani waciaka, ani łyżki, ani nic. Dostałem dyspozycje, że tego dnia do roboty nie wychodzę i zostałem w baraku. Jeżeli ktoś bez zwolnienia lekarskiego zostawał w baraku, to kontrola, która przechodziła, go zgarniała i lądował w karcerze; to była prosta droga na cmentarz - tam go zagłodzili, dobili... Zostałem; kontrola przeszła i zostawiono mnie, nie ruszono, widocznie byłem chroniony. Potem przyszedł sanitariusz, zabrał mnie do szpitala, do łaźni szpitalnej. Tam czekali już, żebym się rozebrał, bo zabierano moje rzeczy - sprzedane. Ubrałem się w bieliznę szpitalną, w jakiś strój tamtejszy. Sztorchman wyszedł w swoim szlafroku; widziałem, że mu mył nogi jakiś więzień. Wkrótce się ubrał i poszliśmy na kuchnię.

Kuchnia była okazałym budynkiem, buchało parą, pachniało

ryżem, mięsem itd. Ja byłem prosto z d o ł ó w . Weszliśmy do gabinetu zarządzających kuchnią, [tam] ładna, przystojna kobieta, on powiedział: - *Nowy powar* - rozkazującym tonem. Ona usłużnie spytała, czy jestem fachowcem, czy się na tym znam. Ja - że oczywiście, znam się. - To zrobimy mały egzamin. Zadała mi dwa pytania:

- *Szto eto takoje "wychod"?*

[Odpowiedziałem, że] jest to proporcja suchego produktu do gotowego.

- *No prawilno. A w kakoj wadzie wariat kartoszku?*

- Wkłada się do zimnej, gotuje się we wrzątku.

No, oczywiście, że jestem fachowcem! Ale powiedziała:

- Niestety, nie mam miejsca w tej chwili; będzie rozdawczykiem, będzie wydawać.

To była kuchnia szpitalna. Podprowadzono mnie od wewnątrz do okienka, gdzie ktoś - jakiś więzień, w białym fartuchu, wydawał kaszę tym felczerom. Bardzo mała ilość ludzi w tym okienku otrzymywała. Ten został wyrzucony, dość brutalnie; kazano mu zdjąć ten płaszcz i wyleciał na ulicę. Jego miejsce ja zająłem. Była lista, trzeba było odznaczyć, i nałożyć. Ale: ode mnie oczekiwano łapówki. Po pierwsze, ja byłem nie na etacie; byłem nadal górnikiem. Moją porcję zabierał brygadzysta, wypisując najwyższą normę wykonaną. Oprócz tego jego *sześciorka*, służący, zgłaszał się pod okienko z dużym kociołkiem - trzeba go było napełnić. Po trzecie, ja musiałem sam się najeść. Gdybym zjadł tyle tego oleju, ile bym mógł tego dnia, to żaden felczer by nie otrzymał ani grama. Po czwarte, za tym stał łańcuszek innych ludzi, których trzeba było opłacać. Po piąte, w obozie zawsze rządził jakiś gang. Wtedy rządził Iwan Muzyka - *blatnyje*.

Były sukci i bŁatnyje; "zakonnicy", którzy mieli pewne reguŁy, uznawali pewnŁ etykę, szczególnŁ, i ci, którzy zdradzili i odeszli. Między nimi trwała zażarta walka na śmierć i życie; mordowali się wzajemnie. W tym momencie u władzy byli akurat ci. Jeżeli nie wŁożyŁeś do kocioŁka tego, co należy, to np. kóregoś kucharza wrzucili do kotŁa, nakryli pokrywŁ, on się ugotowaŁ. I kropka, dyskusji nie byŁo. A ja miaŁem 60 osóŁ do nakarmienia i trzydziestu oprócz tego; musiaŁem ukraść tyle, ile trzydziestu [zje]. Doskonale zdawaŁem sobie sprawę, że tego nie będe w stanie zrobić. I musiaŁem kraść.

ZaangaŹowaŁem człowieka, który staŁ po drugiej stronie okienka, na mrozie, i dyŹurowaŁ caŁy czas na to, co ja zdoŁam ukraść. Jeżeli w pewnym momencie ukradŁem wymię caŁe (podroby byŁy gotowane) czy pŁuca, które moŹna byŁo tylko pod fartuch [schować], że po kolanach ciekŁo; z okienka wyrzucaŁem na zewnŁtrz butelkę oleju - on natychmiast musiaŁ to przeŹać, schować w śnieg, to sobie zamarzaŁo, mogŁo leŹeć wieki. I byŁem w stanie nakarmić tego jednego człowieka, który znowu mogŁ się okupić gdzieś, żeby być dyspozycyjnym.

PrzyjŁem takŁ taktykę, że prawie nic nikomu. BrygadziŹta ma mój kocioŁ i tyle się utrzymam, ile się utrzymam. Na szesnasty dzieŹ zostaŁem wyrzucony z trzaskiem, tak, jak tamten poprzednik; naraŹajŁc się Sztorchmanowi po wieki wieczna. To szŁo aŹ do naczelnika obozu, ten system sięgaŁ. Natomiast miaŁem niezŁe zapasy w śniegu. Na rok, mniej więcej. ByŁem najedzony, odŹyŁem, i wróciŁem do kopalni. Ale: jak wychodziŁem do kopalni, to szedŁem spać pod warsztatem, gdzie byŁy wiórki od strugania. Kiedy brygada koŹczyŁa pracę, ja wyŁaziŁem stamtŁd wyspany, stawiaŁem się i szedŁem do obozu.

Dramatyczna była sytuacja, kiedy zasnęłam. Brygada, jeżeli nie było jednego człowieka, tak długo musiała czekać, aż się znalazł. Uważałam, że powinni mnie zabić - nikt mnie palcem nie tknął, ale psychicznie się czułam, jak nigdy w życiu; jak zbity pies. Mało, że nie pracowałam, że oni normę za mnie wykonywali, to jeszcze przeze mnie musieli marznąć na mrozie.

Sytuacja doszła do tego, że już żaden Dikman nie mógł mi pomóc. Byłam wszędzie spalony. Dochodziło do tego, że ten *pridurek* był już tak niewygodny nikomu, że nikt go nigdzie nie chciał widzieć, a był za mocny znowu i nastawiony do roboty na nie, że trudno go było wtłoczyć w te ramy. I to był zawsze najbardziej dramatyczny moment. Dikman mi powiedział: - [...] Nawet ja ci nie mogę pomóc.

I wtedy właśnie zaczęli uczyć; otworzyli klasę szkolną, zrobili kącik, pomoce szkolne. Przede wszystkim trzeba się było uczyć rosyjskiego, czytać, pisać. Kupiłam sobie, znowu jakimś tam sposobem, za resztki zasobów, wolny czas i zbudowałam model. Łaziłam z metrem, wieżę, koła, wszystko mierzyłam bardzo dokładnie i zbudowałam model wyciągu kopalni, szyb, to wszystko na desce. Wtedy właśnie Dikman mówi, że szukają personelu do gabinetu technicznego. Przyniosłam mu to, on zaniósł do tego kapitana. On powiedział:

- Gdzie jest ten człowiek?! Takiego nam, trzeba.

Jak on [Dikman] powiedział "Kozuchowski", to ten upadł na fotel podobno... Ale złamał się i kazał mnie zarejestrować jako *dniewalnowo*, tzn. takiego od palenia w piecach, sprzątania itd. - innego etatu nie było; [pracownia] miała funkcjonować na zasadzie społecznej, nie było tam etatów.

Zaprogramowałem sobie, że muszę - tak, jak zakonnicy, którzy kiedyś szopkę robili całe swoje długie życie, tak ja mam na te 20 lat katorgi zaprogramować sobie, żeby mnie nikt nie ruszył, bo s t a l e to będzie nie skończone. Dorobiłem wielki stół, gdzie była cała kopalnia już, w obrębie drutów, i pod ziemią - układ chodników, z pracującymi maszynami, wagonikami itd. I to można było dłubać rzeczywiście 20 lat. Maszyny się poruszały rozmaicie; można było wymyślać bez końca.

Pewnego dnia ogłosili, że przyjeżdża komisja, że musi być czysto, porządku... Przybyła komisja z Moskwy, w której składzie był wiceminister przemysłu węglowego Związku Radzieckiego. Oczywiście, pokazano im, że tu się uczy... Weszli, on obejrzał moje dzieło, ja stałem z boku, i spytał, gdzie jest ten człowiek, który to ... Wskazano na mnie; przyciągnął mnie i powiedział:

- *Major, takim ludziom nużno pomagać!*

Ten na baczność: - *Towariszcz ministr, kanieczno.*

Jak oni wyszli, to ja - zdobyłem taki glejt, myślałem, że nikt mnie nie ruszy.

Oprócz Dikmana był tam jeszcze jeden bardzo ciekawy człowiek - Fiodor Manczenko. Był podobno burmistrzem Kijowa czy Charkowa; któregoś z wielkich okupowanych miast, z ramienia Niemców, jako samorząd rosyjski. No więc "zdrajca", oczywiście, za to dostał... Zarządzał pracownią krawiecką - niesłychanie eksponowane stanowisko, i był malarzem - amatorem.[...] Dużo było dyskusji, dużo czasu było, żeby mówić o życiu, o filozofii, o wszystkim; byli ludzie inteligentni również. On powiedział w pewnym momencie coś, co zapamiętałem do dziś: - *Ja ubażaju taŧpu.* Pytam go:

- Fiodor Iwanowicz, wy, takiej indywidualistę?" Mówi: - Da, patamu szto w tałpie ja wsiegda rukawaditiel.

Pierwszy raz takie stwierdzenie usłyszałem; potem bardzo szukałem książki, która by mówiła o psychologii tłumy i Le Bonne'a wreszcie znalazłem. Myślałem, że nikt takiej książki nie napisał, ale jest, bardzo ciekawa zresztą, unikalna; temat ogromny, a nie ma literatury prawie.

Pewnego dnia zabrali mnie stamtąd. Korzystając z tego, że siedzę w gabinecie technicznym, gdzie odbywały się kursy, skończyłem kurs maszynistów wrębiarek. Jest to zawód górniczy, zupełnie szczególny i uprzywilejowany. Jest to obsługa maszyny, od której zależy wydobywanie - ona podrabuje warstwę węgla, która potem wysadzona, jest do wzięcia. Bęben, na którym jest łańcuch z ząbkami - jeżeli on na moment przeoczy i złapie, potem to trzeba wydłubywać; cała zmiana leży, norma jest nie wykonana. Ci ludzie nie byli na żadnej normie - zrobił swoje i był wolny. Jego konwój prowadził oddzielnie do obozu, on był "święta krowa". I w tej dziedzinie byli mistrzowie, a ja byłem noga kompletna. Mnie się rwały liny, bębny się zacinały; nie miałem do tego talentu żadnego. Prawdopodobnie nie wydobyłem węgla tyle, żeby wystarczyło na to, co obżarłem się w baraku przez te lata katorgi. Natomiast byłem zarejestrowany. I w pewnym momencie, kiedy kopalnia 29 zażądała fachowców, nowa kopalnia, mnie, jako nie pracującego w zawodzie, automatycznie poprowadzono tam.

Zobaczyłem tam gabinet techniczny; zastukałem do drzwi dyrektora kopalni, którym był Polak, Pristincki. Zruszczony Polak, żona jego, okazało się, jest inżynierem *po obłuczeniu*, od szkolenia. Przedstawiłem się: - Lech Kożuchowski.

- Palak?

- Polak.

- Palak Piłsudsko ili Palak Dzierżyński?

- Piłsudsko. Mówię, że pracowałem w gabinecie technicznym. Z drwiną - zachowywał się nieładnie: - *Techniczeskij kabinet. Ładno, budzicie prachadzić po obsłudze kombinata*. Nie był to etat ani stanowisko, tylko byłem zarejestrowany w grupie sprzątających, konserwatorów itd. Dano mi klucze, wszedłem do pustego pomieszczenia, siadłem i zacząłem dumać, co dalej.

Zameldowałem się za parę dni u Pristiniego, powiedziałem, że gabinet wasz jest nie urządony, zwykły stół; tej miary urząd wymaga oprawy.

- *A wy panimajecie szto nibud' po etomu dziełu?*

Mówię, że tak. - *I eto...* według europejskich wzorów? - Tak.

Atmosfera się zrobiła bardziej przyjacielska. [On pytał czy mógłbym mu biurko zaprojektować? Powiedziałem, że owszem, oczywiście, ale jeżeli mamy robić, to musimy otworzyć stolarnię. Jeżeli mamy urządzić gabinet techniczny, musimy mieć fachowców. W tej chwili przyszedł transport, wśród Łotyszy, Litwinów, Estończyków jest dużo fachowców, słyszałem, że jest stolarz...

Jak przychodziły transporty, to ja wylawiałem. Przyjechał zegarmistrz; zauważyłem, że ktoś przemycił zegarek i on mu reperuje - miał scyzoryk tylko i szkiełko w oku i ten zegarek mu zrobił. Zaraz zameldowałem, że jest taki fachowiec i mógłby mi pomóc robić modele. Pozwolono mi go zabrać; też nielegalnie - oni wszyscy byli zarejestrowani w kopalni, kopali rzekomo węgiel.

Następnie pojawił się Grek, bardzo ciekawy. On sobie

postanowił uciec ze Związku Radzieckiego. Dorobił się fortuny, miał walizkę drogich kamieni i złota. Przenosił się z miasta do miasta, aż wreszcie osiedlił się w Kaliningradzie nad Bałtykiem, a chyba wcześniej w Kłajpedzie, skąd miał zamiar kutrem - kapitana przekupić i mieli uciec. W tym momencie zestrzelono bombowiec amerykański koło Libawy, był taki słynny, ważny incydent; nie mogli wypłynąć. On się przeniósł do Kaliningradu, tam wszedł w kontakt z pilotem samolotu odrzutowego, miało być to samo. Kiedy z walizką skarbów wkroczył na pokład samolotu, NKWD już tam czekało. Pilot go zdradził, dostał 25 lat. Wziąłem go.

Drugi był Uralski. Był to grafik, Rosjanin, syn białego generała, wychowany na Zachodzie. Gdzieś w Berlinie go zgarnęli, młodego chłopaka. Był świetny; rysował takie gołe dziewczyny, że myśmy kaszy mieli w bród, bo kucharzom się sprzedawało takie "pisemko". Grek zrobił z kolei zegar na kuchnię, cały z drzewa. A ja byłem szefem tego całego interesu.

Zyło nam się zupełnie nieźle. Meble były zrobione, modele były wykonywane. Ale stopniowo zacząłem tracić kontrolę nad tym, bo Pristińscy jeździli do Moskwy, przywozili workami stare zegarki i kazali reperować temu Grekowi. Ja żądałem, żeby on robił to po godzinach, a gabinet techniczny musiał być w ruchu, normalnie. Doszło do konfliktu. Wyrzuciłem Greka z jego narzędziami na schody. Pristińscy mnie wezwali, powiezieli, ^{dz}żebym się opamiętał, żebym go przyjął. Ja odmówiłem. Odebrano mi klucze. Komendant obozu kazał nie wypuszczać mnie na teren kopalni, wezwał do siebie, pojawili się Pristińscy. Doszło do takiej sceny, że oni mnie oskarżyli o kradzież farby itd., że mnie usunięto

jako złodzieja. Powiedzieli:

- Major, posadzić w BUR i zamarić do śmierci.

Miałem zegarek. To był decydujący moment. Wyjąłem ten zegarek i mówię:

- *Grażdanin major*, ponieważ słyszę, jak jest, proszę o przechowanie.

On wziął, przyłożył do ucha, czy chodzi, schował do biurka, powiedział do Pristińskiego: - ^{Sczytałem} ~~Se~~ *cztiom* nużnym, *pasodzim*. (Uznamy za konieczne, posadzimy). W barak, *Lech Mieczysławowicz!*

Rozpoczęła się wojna między nim a Pristińskimi, nie tylko o mnie, bo to byłaby za błaża przyczyna. Ale kiedy zaczynał zwalczać komendant obozu dyrektora kopalni, to dyrektor był załatwiony. On go mógł wspomagać, wysyłając na tzw. *udarniki* kucharzy, różnych inwalidów; mógł otwierać lewy odcinek, nawet ponad plan. Natomiast jeżeli on legalistycznie traktował i mówił lekarzom - "dawać zwolnienia, nie patrzeć, ja aprobuje", to on go tak zamorzył, że on planu nie wykonywał i m u s i a ł stracić po trzech miesiącach... dłużej żaden nie wytrzymał takiej wojny. I Pristińscy zostali załatwieni przez majora kompletnie i musieli opuścić Workutę.

W tym okresie "przechwycili" mnie inni. Dłuższy czas chodziła wokół tego *zaw-sanczasti*, ona była lejtnantem NKWD; bardzo przystojna, młoda lekarka. Nigdy się nie mogła doczekać, bo ja miałem dobre stanowisko. W *san-czasti* zawsze można było się schronić. Oni określali kategorię fizyczną, przydatność do pracy itd. W tym momencie poszedłem do niej, powiedziałem, że jestem wolny w tej chwili; jeżeli chce, to proszę bardzo.

- To kładziemy was do szpitala.

Położyli mnie do szpitala. Trzeba było coś znaleźć. Okazało się, że mam przepuklinę białej linii, guzek; nie wiem, skąd to się wzięło, coś dźwignąłem. To był oficjalny powód. Na razie leżę w łóżku i robię szkatułkę dla Walentyny Iwanownej, czy inaczej [się nazywała]... Postanowiłem, że zrobię cudo, z sekretnymi zamkami, rzeźbione w róże, ażurowo, w ogóle, z wodotryskiem, fontanną i wszystkim. Ale to musiało długo trwać. W międzyczasie miałem niedokończoną szkatułkę, którą zamówiła u mnie następczyni Pristińskiej, młoda absolwentka górnictwa, inżynier z Moskwy; na praktykę przysłała. Przepiękna kobieta. Byłem pomiędzy nimi dwoma. I tamtej zrobiłem wcześniej. Ona się na *postółku*, przy wolnych, pochwaliła, i ta doszła do wniosku, że ja ją oszukałem, że dla niej nie robię. Ja robiłem, tylko taką rzecz "naj". Doszła do wniosku, że po prostu koniec. Operacja, cześć. Traktuje mnie jak normalnego chorego.

Był to czas, kiedy Stalin załatwił lekarzy, którzy mieli rzekomo wytruć rząd radziecki. To był sygnał nagonki antysemitki w Związku Radzieckim - bardzo ważny historycznie element, który właściwie doprowadził do upadku stalinizmu.

[Co było wiadomo o tych wydarzeniach, nagonce, na Workucie?]

Wszystko. Dla inteligentnego, obeznanego w polityce, ostrzelanego człowieka to było wszystko czytelne, zrozumiałe.

[Ale skąd?]

Przede wszystkim mieliśmy prasę. "Prawda", "Izwestia". Było tzw. *kawecze, kulturno waspitatielnaja czast'*, gdzie były gazety, radio, a więc Moskwa była słyszalna. Kto potrafił skomentować, to bardzo dużo można było wiedzieć.

Wyznaczono operację. Lekarz - bardzo wybitny profesor, nazwiska już dziś nie pamiętam. Operację miał robić felczer, to był błaży zabieg, nie było o czym mówić. Ale ponieważ ten chirurg czekał w kolejce również na prezent ode mnie, sam podjął decyzję, powiedział, że będzie operować. Ona [zarządzająca szpitalem] się obraziła; miała mu asystować. Kilku się przyglądało - on uczył od razu personel, z innych kopalni również, natomiast ona miała zaszywać. Z miejscowym znieczuleniem. On objaśnia: - Tu tłuszczuk wycinamy (znaczy miałem ten tłuszczuk jednak). Ja wtedy mówię: - To weźcie talerzyk i odłóżcie mi, to będę miał na kolację, do okraszenia. W tym momencie słyszę jej głos: - *Mnie płocho*; zemdląca, osunęła się, wynieśli ją i on sam zszywał.

Wróciłem na swoją salę. Miałem przyjaciela, który był jej służącym. Straszliwie wyczerpany, trafił do szpitala; Miłowanowicz, pułkownik armii od Tita, jeden z wybitnych działaczy, który opowiedział się po stronie prawdziwego komunizmu. Jak Tito zaczął brykać Stalinowi, to uciekł do Budapesztu i był kapitanem statku na Dunaju. [Zachował swoją broń partyzancką] i Rosjanie go zgarnęli, wsadzili. Miłowanowicz był, jak twierdził, korespondentem jakiejś gazety jugosłowiańskiej na proces norymberski. Przez niego miałem dostęp do niej. Czasu było dosyć; opowiedział mi historię, której potwierdzenie znalazłem tylko w jednym przypadku, u pana Rybińskiego. On [p. Rybiński] mi napisał, że w czasie procesu Goering strzelił do Rudenki... nie, Rudenko strzelił do Goeringa; trafił go w rękę. Na sali sądowej. Wszyscy mówili mi zawsze, że to bzdura, niemożliwe. Z dwóch zupełnie różnych źródeł. Miłowanowicz twierdził, że był świadkiem tego wydarzenia; ono zostało zatuszowane ze względu

na ogromną rangę polityczną. Goering zaczął zarzuty stawiać - Katyń itd., że wspomagali w jakimś stopniu Niemcy w wojnie przeciw Zachodowi, rzucał cyframi, dowodami. I właśnie Katyń. I w tym momencie Rudenko wstał, wyjął pistolet, strzelił, trafił w rękę. Goering wtedy powiedział, że gdyby to strzelał niemiecki oficer, trafił by lepiej. Jest wiadomo, że od pewnego momentu Rudenko został odwołany do Moskwy, jego miejsce zajął ktoś inny, nie pamiętam kto. Od tej pory nawet przedstawiciele aliantów nie mieli prawa wstępu z bronią na salę sądową. To są fakty. Skąd to wynikło? Dla mnie jest stuprocentowo pewne, że te wydarzenia... Nie są publicznie znane, do dziś dnia.

[A pan Rybiński podał źródło?]

Z innego źródła; on mi mówił, ale to już nie jest ważne. Dokładna relacja ta sama, co Miłowanowicza.

Przed wyjściem ze szpitala skończyłem szkatułkę i miało nastąpić wręczenie. Jeszcze Miłowanowicz zdażył mi powiedzieć, że miał straszną wpadkę. On jej zawsze łąźnię szykował; trzeba było wszystko czysto umyć, prześcieradło itd. Pewnego dnia jakiś bandyta schował się pod tapczanem. Jak ona się zamknęła w łazience, to on wyszedł, jak go Pan Bóg stworzył, z nożem, do niej. Była w sytuacji bez wyjścia. Tylko gorsze, że on się później pochwalił. Był kolosalny skandal potem w kręgach "elity" władzy, niewiele brakowało, żeby ją odwołano - dopuściła się takiej "nieostrożności".

[Miłowanowicz] jej melduje, że ja mam gotową szkatułkę. Ustawiłem go, żeby nikogo nie było, żebym miał czas; kiedy, jak. Wiele sobie po tym obiecywałem. Jak było nie marzyć wtedy o kobiecie; było nas tam tysiące, kobiet w ogóle nie

było. Przyszła, siadła przy swoim biurku w gabinecie; ja wszedłem, rozwinąłem to. Zaniemówiła z wrażenia. Usiłowałem jej pokazać, jak się te sekretne zamki otwiera - tu się naciska liść, przesuwa się; to było rzeźbione w róże naokoło. Objąłem ją i chciałem pocałować. Ona mi się rozryczała w straszny sposób, dostała spazmów... Uciekłem stamtąd, złapałem swoje rzeczy ze szpitala, wróciłem do baraku.

Potem szkatułka była pokazywana, na osiedlu; cudo, "takowej i w Maskwie nie kupisz". Później jej reakcja się wyjaśniła, w tym dniu dostała telegram, że matka jej umarła i ma jechać do Moskwy. Miałem pecha; tyle się narobiłem... [śmiech] Trochę śmieszne, ale wtedy to była śmiertelnie poważna sprawa.

Przyszeli nowy dyrektor kopalni i major mnie wezwał. Zrobiłem mu już nie pamiętam, co; kazał mi iść z powrotem do roboty. Wróciłem do gabinetu technicznego, gdzie szczęśliwie dotrwałem następnej partnerki. Właśnie pojawiła się ta praktykantka, nowy inżynier. Piękna blondynka. Nie zapomnę sceny, kiedy wracała z bufetu dla wolnych, łaźnie chyba jeszcze nie były do końca uruchomione, i kiedy zmiana wyjeżdżała spod ziemi, to ludzie w czarnych, brudnych waciakach roboczych, czekając na odprowadzenie do obozu pokotem leżeli na parterze sali - dalej szedł korytarz i był bufet dla ludzi wolnych. Nie zapomnę momentu, kiedy ona wyszła z korytarza, padło na nią światło słoneczne - tam jest niesłychanie przejrzyste, ostre. Młoda, przepiękna kobieta z naręczem pomarańczy. Wybierała drogę końcem [stóp] pomiędzy tymi leżącymi ludźmi, żeby na kogoś nie nadepnąć. Było to jak zjawa w piekle; jak anioł w piekle. To zestawienie było tak niesłychane, że ja do dziś pamiętam każdy szczegół tej

sceny. To wiele tłumaczy, jak bezgraniczna jest przepaść między śmiercią - bo ci ludzie byli skazani na zagładę, i pełnią życia. Tak bezpośrednio zestawionych, w tak absurdalnie nieprawdopodobny sposób.

Pewnego dnia urwało mi się wszystko; już i tam nie miałem miejsca. Tak narosły jakieś konflikty... Trafiłem na transport, który szedł na nową budowę chyba elektrowni wodnej, na tejże Workucie. Tylko: u nas, już w każdym baraku, stała beczka, gdzie się wrzucało chleb - czysty, nie resztki, i robiło się kwas. Non stop był do picia kwas. A wagonikami kolejki wywożono suchy chleb, zbędny, z obozu i karmiono świnie, dla żołnierzy na osiedlu. Kilka kilometrów dalej ludzie marli z głodu na budowie, która nie wykonywała normy. A nie wykonywała normy, bo ludzie byli wycieńczeni i nie mogli jej wykonać; była zła organizacja pracy. Ja trafiłem tam. Zaczepiłem się w stolarni; to nie było długo. I pewnego dnia umarł Stalin.

Już dawniej rozmawiałem z Dikmanem, mówiłem: - Słuchaj, co to będzie, jeżeli umrze? On mówił: - Jeżeli umiera dyktator, to wszystko się zmienia. Słuchałem go długo i uważnie, i przypomniałem sobie wtedy, kiedy umarł Stalin.

Kilka dni później ukazał się artykuł w "Prawdzie", który został wywieszony i momentalnie zdjęty; był [tam] termin "koniec epoki stalinowskiej", chyba coś takiego... To było chyba stwierdzenie prezydenta Stanów Zjednoczonych, zacytowane przez "Prawdę". Przyszedł sierżant ze straży zewnętrznej, powiedział: - *Ty gramotnyj?*

- *Gramotnyj.*

- *Skaży mnie, szto eto budie, jak amerykańcy pridut?*

Myślę - co mu odpowiedzieć? Ale co im się już w głowie

roilo natychmiast?! Mówię: - Słuchaj, jaki chleb teraz jesz?

- Czarny.

- No to będziesz jadł biały.

- *Tak charaszo!*

Może byłem tam dwa tygodnie, trzy, i przerzucono mnie z powrotem na 29, bo znowu zadziałał mechanizm - *wrob-maszynista* i specjalista górniczy, który raptem na budowie... Nie wykorzystany. Miałem wszystko rozplanowane, jak zamelduję się u naczelnego inżyniera, bo już dyrektor był inny, kopalnia wpadła w ręce hochsztaplera, który wstrzymał wszelkie roboty przygotowawcze, szedł tylko na wydobywanie, żeby zgarnąć premię. Ci ludzie "pływali" po całym Związku Radzieckim. Wyczerpywał zasoby, kopalnia wpadała w tarapaty, ludzie nie dostawali jeść, a on zgarniał premię i lądował w drugim końcu Związku Radzieckiego. Wtedy następuje interwencja centrum, przysyłają inżyniera, w wytartej marynarce, jakiegoś fachowca skromnego, sprawnego organizacyjnie, który wyciąga z dołka. I taki tam przyjechał.

Wróciłem. Wiedziałem, że jest to człowiek mi przyjazny i miałem do niego się stawić. Spotkałem się z nim w ubikacji. Wydawać się to może absurdalne, ale nie było właściwe, żebym ja się u niego pojawił.

Nikt mnie do roboty już nie mógł zapędzić. Nie pamiętam, jaki miałem tam status, w każdym razie siedziałem w obozie i nic nie robiłem. Nikomu do głowy nie przyszło, żebym ja mógł teraz na ogólne roboty pójść.

Pewnego dnia aresztowali Berię. I t o był impuls do strajków. Tego prawdopodobnie do tej pory nikt Pani nie powiedział; nie wiem, czy w sprawie narylskiej ktokolwiek

skojarzył. Jest to graniczna data. Śmierć Stalina - tak, ale jako druga graniczna data: aresztowanie Berii. Stwierdzenie, że szefem obozów, że sadzał do więzień agent imperializmu, bo przecież taki był komentarz, itd., niosło za sobą te wszystkie konsekwencje logiczne. Bo logika w tym przypadku obowiązuje, a nie prawda; tylko logiczny wywód myślowy. Powstało u z a s a d n i e n i e buntu. Nie przeciwko władzy radzieckiej, nie przeciwko Stalinowi nawet, który już nie żył, ale mit.. Ale przeciwko i m p e r i a l i z m o w i właśnie; klasy robotniczej, której interesy wpadły w ręce "zdrajcy ojczyzny" itd. Na tym dopiero... ten ładunek wybuchowy, na którym można oprzeć było ideologię buntu. To było [główną i pierwszą] inspiracją. Rozbroiło to przeciwnika i pozwoliło, żeby bunt się rozwinął na większą skalę i, ostatecznie, żebyśmy wygrali.

Jest to chyba w godzinach czy w dniach zaledwie po aresztowaniu Berii. Ja oceniam, że ci ludzie nie są zdolni do buntu, do oporu, że są już bierną masą. Popełniam błąd, ocena była fałszywa. Obserwuję tylko wydarzenia biernie.

W pewnym momencie okazuje się, że nie wróciła zmiana z kopalni. Więc: -"Coście zrobili z ludźmi?!" Oczywiście wiadomo, że z ludźmi n i c nie zrobili, ale jest to już pretekst. Nie wyjdą ludzie do roboty, gdzieś tam zawiązuje się komitet, jacyś ludzie między sobą się umawiają. Nie wyjdziemy do roboty, póki nie wrócą nasi koledzy z kopalni. Był to bardzo zręczny sposób rozpoczęcia strajku. Długo trwała przepychanka, kilka godzin. Wreszcie ta zmiana wróciła, zamiast rano, gdzieś o ósmej (bo to nocna zmiana nie wróciła). Ale już ta zmiana ranna nie wyszła do pracy. I już

powstał komitet w obozie. Edward Buca i kilku innych, Gryczanik - jego [Bucy] doradca, adwokat wileński.

W pierwszym momencie władze próbowały interweniować. Wjechały samochody, chcieli wywieźć prowiant z magazynów, żywność. Ludzie kładli się pod samochody; nie mogli przejechać. Rozładowano im to, ale bez gwałtu, bez użycia siły.

Następnie były próby - wieszać prowokatorów! Komitet skutecznie potrafił to zablokować, wyperswadowano, że tylko absolutnie przestrzeganie wszystkich zasad, legalnie, uniemożliwi ingerencję w strajk na podstawie, że właśnie trzeba zachować...

[To było w tym krótkim czasie dopóki nie wróciła ta zmiana?]

Tak. W ciągu około ośmiu godzin się już wykrystalizowała władza wewnętrzna.

Rzeczywiście został zachowany porządek. W momencie, kiedy władze się zorientowały, że coś się dzieje, zaaresztowano kilku ludzi i zamknięto ich w baraku, takim wewnętrznym więzieniu, który był tylko lekkim płotem odgradzony od reszty, był wewnątrz obozu. A więc uniemożliwiał jakąś zbrojną interwencję do wewnątrz, bo było prawem zakazane, że straż nie miała prawa strzelać do wewnątrz obozu. Później jak był rozkaz rządu, prokuratora generalnego, to co innego, ale sami, z własnej inicjatywy - nie. Tłum się zgromadził wokół tego aresztu i zaczął się sądnym, dosłownie, dzień. Stał szpaler strażników, twarzą w twarz z tłumem, i zaczęło się.

- Ty mi zęby wybijałeś!

- Ty katowałeś!
- Ty beriowski bandyto!

Nigdy nie padło "stalinowski", tylko "beriowski". Presja była tak silna, że oni wreszcie rozbiegli się, wycofali się. I tłum wtargnął do tego [więzienia]. Zdobycie Bastylji, psychologiczny moment triumfu. Padły bariery, wyprowadzano tych ludzi aresztowanych, niektórzy nawet z kołdrami, poduszkami, bo ich zgarnęli ze wszystkim, co mieli w baraku.

Później komendant Workuty, gen. Dierewianko, wydał zarządzenie, że ponieważ nie wychodzą ludzie do roboty, wobec tego karna porcja - 300 g chleba. Komitet postanowił, że należy to respektować; jest to p r a w o , legalny komendant, jemy 300 gramów. Nie będzie niedoborów w magazynach, bo by nas oskarżyli o defraudację. I to była wielka rola tego komitetu, cały czas.

Tego nie wiedziałem - tam gdzieś trwały dyskusje, w tym gremium, co do dalszego postępowania, dalszych zamiarów. Dla mnie do dziś dnia nie są dostępne, ponieważ w tym udziale nie brałem. W pewnym momencie, to już był bodaj trzeci dzień strajku, zaczęto organizować grupy żołnierzy, oficerów. Oni wykrzykiwali - "Wy czekacie tu imperialistów, wojny chcecie! Agenci, szpieczy wami rządzą!" i takie prowokacyjki.

[Ale w międzyczasie wrócili ci ludzie?]

Tak. Zmiana wróciła, tamta nie wyszła i komplet [był w obozie]; obóz został zamknięty, opanowany, kopalnia stanęła.

Kiedy to usłyszałem, doszedłem do wniosku, że w tym jest pewien niebezpieczny element. Wyraźnie oni idą na prowokację i to nie może zostać bez odpowiedzi. Nie miałem żadnego

kontakty. Ściągnąłem Uralskiego, tego grafika, pozbierałem w magazynach *kawecze* (tam była czytelnia) tablice, na których pisano normy, plany. Powyciągaliśmy listwy, jakieś deski, płyty. Zredagowałem szereg haseł, które miały być kontra na to oskarżenia.

Na płótnie czerwonym został napisany wielki transparent: "My za rządem Malenkowa - Zukowa. My za radziecką ojczyzną". To zostało wywieszane na bramie; przy bramie wejściowej był taki łuk i na tym - olbrzymimi literami. Następnie takie hasło: "My za pokój i przyjaźń między narodami" - to były metrowej wysokości litery, wycięte z płyty i każdą oddzielnie trzeba było mocować na dachu szpitala. Było to widać przez lornetki z całej Workuty. Nikt nie chciał tam wleźć - za płotem stały już karabiny maszynowe. Było lato, piękne dni, lipiec. Bardzo ciepło; ja w kąpielówkach wlałem, wciągnęłem litery i zacząłem listewkami podierać, przybijać na dachu - on był drewniany, z gontów. Pamiętam, że obejrzałem się. Karabin maszynowy - tak nerwowo lufa chodziła, jak by czytał litery, jedna po drugiej. Myślę: jak on mnie przestrzeli, ciekawe, w którym miejscu dziurka będzie. Zlałem na drugą stronę, na skos dachu, żeby mnie za bardzo... I tak plecami byłem do niego. Ale w momencie, kiedy on wiedział, co będzie dalej, to się zatrzymał.

W wywiadzie wydrukowanym w ostatnich "Nowinach [Jeleniogórskich]" było to skomentowane niezbyt sensownie, że gdyby to było hasło antyradzieckie, to by mnie zestrzelili z dachu. Nieprawda. Trzeba znać regulamin - żołnierz nie miał prawa strzelić do wewnątrz obozu, choćby tam była nie wiem jaka herezja. Takie błędy są przykre, wypaczają obraz.

Potem najbardziej radykalne [hasło] - "Swabodu nam, ugoł

rodinu", na cały dach jakiegoś baraku, pędzlem, olbrzymimi literami. Czyli cały obóz...

Wiedziałem, że Uralski był donosicielem; był z ramienia kontrwywiadu przy mnie, miał mnie obserwować. Więc myślę - może mi go ustrzelać. On wiedział, że ja wiem, ale go przy sobie trzymałem i przymuszałem do robienia tej roboty.

Natychmiast po wywieszeniu tych haseł prowokacje ustały, jak ręką odjął. Zamurowało ich. I to była, uważam, moje wielka zasługa, ten moment. Następnie komitet przygotował petycję do rządu radzieckiego z żądaniem - nie będziemy rozmawiać z tymi zbrodniarzami, którzy nas katowali, wiemy, że to byli agenci Berii, natomiast wspaniały rząd wielkiego narodu rosyjskiego itd...., komunizm i ta terminologia. To było tak napisane, z tego, co wiem. Domagano się rozmów z komisją rządową, jeśli kopalnie mają ruszyć. I to zostało przerzucone za obóz. Pewnie na wartownię ktoś poszedł, zaniósł, poszło dalej.

[Czego żądali, o czym chcieli rozmawiać z komisją?]

Prawdopodobnie nie było mowy o żadnych warunkach; tylko żądano przybycia, żeby był rejestr krzywd, ale nie było warunków, o czym.

To było wszystko w sumie chyba sześć dni. Był dzień spokoju. Pojawili się oficerowie i powiedzieli, że należy przygotować spotkanie, przynieść stoły, ustawić - było boisko piłki nożnej, szutrowe. Graniczyło z jednej strony z płotem, gdzie nie było żadnych baraków; z drugiej droga - już gdzieś się baraki zaczynały. Był to narożnik, jedna czwarta obozu, prawie nie zabudowana. Tam wystawili stoły, nakryli czerwonym suknem, krzesła. Ludzie mają zebrać się na tym placu. Był

nakaz komitetu, że wszyscy mają być umundurowani regulaminowo. Ja np. chodziłem w eleganckim kożuszk; to było lato, więc miałem marynarkę cywilną. Wszyscy byli ubrani tak, jak należało, z numerami. Na placu ma się stawić połowa obozu, ponieważ mogą wtargnąć od tyłu, wykorzystać moment nieuwagi - żeby blokować wszystkie ruchy przeciwnika. To były zarządzenia komitetu. Komitet miał wtedy 12 osób, w tym dwóch Polaków, Rosjanin Winogradow, Rypecki Ukrainiec, Maluszenko rosyjski Żyd z Odessy, syn sekretarza partii, wysokiej rangi dygnitarza, student anglistyki; był ważną postacią w tym wszystkim, odegrał bardzo dużą negatywną rolę. Zenia Gaier, Rosjanin, sympatyczny chłopak... Sądzonych było nas trzynastu.

[Czy pan już wtedy ...]

Nie, nie miałem żadnego kontaktu; byłem jednym z tłumu. Jedyna moja rola to napisanie haseł i skończyło się na tym. Nie było żadnej reakcji, żebym był zauważony z tego powodu przez społeczność.

Ogłoszono, że komisja przyjeżdża. Zebrało się te 2 tysiące ludzi, komitet jakos to kontrolował, żeby nie było za dużo. Wszyscy siedli na ziemi i przed obóz, przed wartownię zaczęły podjeżdżać limuzyny. Mało widoczne, bo tam była taka konfiguracja terenu, krzaki; mignęły te samochody, nie bardzo było widać. Powysiadali i weszli do obozu. Na czele szedł generał Maslennikow, niski, gruby, brzuchaty, cały w orderach, na obie strony aż do kolan. Po jego lewej ręce szedł w granatowym mundurze, w butach czarnych z cholewami, białe pagony, trzy chyba duże gwiazdy - Rudenko. Ja nic nie wiedziałem, kto to jest, oczywiście, jeszcze. I około pięćdziesięciu, w tym generałów, wyższych oficerów, generał

Dierewianko w spodniach granatowych z lampasami czerwonymi, które też mi utkwily w pamieci... Mineli stoły, wyszli przed nie. Rudenko był, patrząc od strony tłumy, po prawej ręce, Maslennikow po lewej ręce, inni - frontem około 20 osób i w drugim, trzecim rzędzie jeszcze; mogło być kilkudziesięciu. Wśród nich twarze miejscowych było widać. W pierwszych rzędach siedział Buca - szef komitetu, jeszcze ktoś z komitetu.

Maslennikow krótko powiedział, że przybyła komisja, której żeście chcieli... Potem się przedstawił:

- *Ja, gienierał armii Maslennikow, kandidate w czlenu... - ich rangi powymieniał, cały szereg tytułów - i towarzyszc Rudenko, zamiestitiel generalnowo prokurora Sojuza (cały tytuł, tak samo).*

Nic mi nie mówił ani "Maslennikow," ani "Rudenko;" nie wiedziałem, kto to jest. Siedziałem gdzieś w dwunastym, piętnastym rzędzie od nich.

- *Chcieliście, oto i macie, jesteśmy. Ustanawiaju pariadek sowieszczania - kto chce mówić, podnosi rękę do góry, udzielam mu głosu.*

W tym momencie Buca wstał, wybełkotał właściwie, że nikt nie będzie mówić; tu jest wszystko napisane - i podał im rulon brystolu, na którym było jakieś ultimatum, typu "wypuścić wszystkich". Z tego, co ja wiem, to było bez żadnej dyplomacji. Ale Maslennikow wziął to do ręki, rozwinął tylko krawędź i podał oficerowi do tyłu, ten drugiemu i trzeciemu. I koniec. Rulon znikł. Buca stał. W tym momencie Rudenko podszedł do niego bliżej i zaczął krzyczeć:

- *Ty kto?! Katorżnik, kontrrewolucjonier! Sadis'!*

Tamten coś jeszcze chciał mówić, ten znowu to samo

wykrzyczał i [Buca] siadł skonsternowany. Po prawej stronie w płocie było wyrąbane, odsłonięte wszystko i stały karabiny maszynowe; tworzyły strefę ostrzału na wypadek, gdyby tłum próbował przekroczyć granicę w kierunku... osłaniał ich polem ostrzału. Kątem oka widziałem, że poruszyły się te karabiny maszynowe; był to moment napięcia.

Zaczęły się krzyki: -"Bierowscy bandyci!" "Mordercy!" itd., wyzwiska; ze strony siedzących. Taka była reakcja na brutalny, bądź co bądź, atak Rudenki.

W tym momencie ja widzę, że to wszystko się fatalnie rozwija i, wobec tego, jako jedyny podniosłem rękę. Ponieważ wszyscy siedzieli, to było dobrze widoczne. trzymałem ją tak długo, aż w tym tumultie Maslennikow zaczął na mnie pokazywać palcem. Nic nie miałem przygotowane, pustka w głowie. Zacząłem mówić tak, jak mówił Maslennikow - cedził słowa, każde oddzielnie. Jak on powiedział "ja, generał armii...", powiedziałem:

- Ja, Lech Kożuchowski, *Palak z Warszawy...* - i robiłem długie pauzy - jako obywatel kraju zaprzyjaźnionego chciałbym być mediatorem między tymi oto skrzywdzonymi ludźmi radzieckimi a delegacją rządu radzieckiego, aby pomóc w rozstrzygnięciu trudnej sytuacji.

I w tym momencie Rudenko zaatakował już nie tak brutalnie; krzyknął w moją stronę:

- *Wraz wy, Palak, pojedziecie w Warszawę! Ładno, sadis'!*

Ja się odwróciłem od niego, był dość daleko, plecami, wyraźnie w kierunku Maslennikowa i zacząłem mówić dalej. Rudenko przestał ingerować. Powiedziałem, że na tablicach jest napisane, jak ci ludzie wykonywali normy; miasta, osiedla, kopalnie powstały rękami tych oto radzieckich ludzi,

skrzywdzonych... I ciągnąłem w tym duchu - po to, żeby ugłaskać, żeby mieć wejście. Zauważyłem, że jestem dobrze przyjmowany, Maslennikow się rozchmurzył, zaczęło mnie słuchać.

Kilka minut w tym duchu mówiłem, kiedy zaczął się z tyłu tumult. Słuchano, a potem - "Prowokator! Co on mówi? Przecież my chcemy na wolność! O czym on mówi?!"

[Tak? "Na wolność"?]

No tak. Właściwie to było zawsze tylko tak: wypuścić i koniec. Nie było wielkiego mędrkowania, wielkiego politykowania. Tak komitet stawiał sprawę.

W pewnym momencie Maluszenko, ten z Odessy, który był, jak później mówiono, ministrem propagandy komitetu, wstał, zaczął krzyczeć:

- To bandyci! Mordercy! Na wolność! - w ten sposób. I wtedy Maslennikow powiedział:

- Tu nas obrażają, towarzysze, nie będziemy rozmawiać - i dał komendę do odwrotu. Ja w ślad za nim zacząłem krzyczeć, że za jednego wariata, powiedziałem, czy szaleńca, nie mogą odpowiadać wszyscy; ja przepraszam w imieniu zebranych... Ale to już był krzyk. I Maslennikow się tego uczeplił. Zatrzymał się w pół kroku, pół obrócony do bramy i zawołał:

- Niech on odwoła to, co powiedział!

Więc ja do niego: - Odwołaj!. Ten jeszcze głośniej zaczął krzyczeć i wreszcie ja miałem już skakać przez ludzi, żeby dopaść go; kilkanaście rzędów było, ale ściągnięto go, przygłuszyli go. Maslennikow wrócił na swoje miejsce i w tym momencie od razu zmieniłem ton. Powiedziałem: - Te obozy nie są nic lepsze, nic lżejsze, nic bardziej ludzkie, niż

Majdanek i Oświęcim. Tu mordowano ludzi; na tej górcie leży półtora tysiąca trupów! Szczuto psami, morzono głodem - i w ten sposób. Natychmiast Rudenko zaczął przerywać. Mówiłem głośno, on zaczął przerywać, ja zacząłem krzyczeć, głośniej i głośniej, aż go zagłuszyłem. Skapitulował w pewnym momencie. Zaczęli słuchać, bez względu na to, co mówiłem. Kiedy wyliczyłem tę litanię ich grzechów, zarzutów, powiedziałem, że ci ludzie oczekują decyzji rządu radzieckiego. Nie powiedziałem, że "otworzyć bramy na wolność", zostawiłem tę kwestię otwartą. Chodziło mi o to, żeby przetrzeć drogę do wypowiedzi ich stanowiska. Niedopowiedziałem; nie postawiłem żądań, warunków. Raptem urwałem, powiedziałem "dziękuję za uwagę" czy coś w tym rodzaju i siadłem.

Wtedy Maslennikov powiedział tak: - *Waszu rzecz s balszym udawolstwem stuszałaby lubaja sowiecka awditoria. Balszoje wam spasiba.*

Dokładnie. I siadłem.

On wtedy rozwinął jakiś papier i zaczął czytać, że rząd radziecki, mając na uwadze sytuację i kierując się względami humanitarnymi postanowił - i lista: za jeden dzień dobrej pracy darowuje się dwa czy trzy dni, *zaczoty* to się nazywało, wyroku, że będą płacić pieniądze, że będzie oddzielny barak do wódczeń z rodzinami, korespondencja itd. Ale, oczywiście, nie było mowy o wypuszczeniu... I że będą rozpatrywane *i n d y w i d u a l n i e*, jak podkreślił, sprawy; można pisać skargi, które będą wnikliwie rozpatrywane. Ale teraz do roboty. Ojczyzna potrzebuje węgla. I do pracy.

Odpowiedziała mu głucha cisza. Trwało to na tyle długo, że oni zaczęli po prostu zbierać się do odejścia. Tak, jak weszli, tak wyszli. I tłum się rozszedł.

Wróciłem do baraku. Za chwilę przyszedł kolega, Matysiak (nie żyje już, mieszkał w Warszawie na Wiejskiej). W imieniu Polonii - było tam kilkunastu Polaków - złożył mi gratulacje; że są dumni, że właśnie Polak itd. Wysłuchałem tego... Buca był też Polakiem, jego doradca, Gryczanik, także, trzeci ja. Trzech ludzi trzęsło tym strajkiem. Był to polski strajk. Niemców było 400 w obozie - nie było ani jednego w Komitecie; w ogóle nie brali udziału, siedzieli gdzieś w kącie.

Wkrótce pojawił się wysłaniec komitetu, powiedział, że uchwalono, że zaprasza się mnie do udziału w Komitecie, na stanowisko, jak powiedział wyraźnie żartobliwie, ministra spraw zagranicznych. Reprezentacja na zewnątrz. Spytałem go, gdzie się zbiera komitet? Komitet zbierał się w *kawecze*, w świetlicy.

- A czy protokołują posiedzenia?

- Tak - skwapliwie [odpowiedział]; myślał, że to bardzo dobrze. Ja mówię:

- Wiecie co, dla NKWD to wy sobie możecie protokołować, a ze mną jak chcecie się spotykać, to w ubikacji najlepiej. Wyznaczcie łącznika; ja przyjmuję funkcję, ale nie będę się kontaktować z komitetem w taki sposób - tylko przez łącznika.

Moja władza została zaaprobowana niejako; nigdy moja noga nie powstała... nie brałem udziału w żadnej dyskusji.

Następnego dnia powstała taka sytuacja - zameldowano, że na wartowni czeka oficer, który miał pod opieką kartoteki. Dokumentacja więźniów, akta osobowe były zapieczętowane, w baraku biurowym; wewnątrz obozu. On ma dyrektywy z Moskwy, żeby wysłać, jak twierdzi, do domu dwóch Niemców, o nazwiskach takich i takich. I musi oddać *liczne* (osobowe) akta, dołączyć dla konwoju; one są tam, a tam stoją nasze

warty - komitet wystawił, żeby nikt... ktoś mógłby chcieć zajrzeć do swoich akt, kto na niego donosił. Żeby nie było naruszenia prawa w żadnym aspekcie, były warty.

Komitet zostawił do mojej decyzji, jak postąpić. Powiedziałem, że ludzi należy wypuścić; nie mamy nic do ukrywania, wszystko dzieje się jawnie. Przyprawiono tego oficera, bardzo skromnego człowieka. Drzwi były zaplombowane. Stał na baczność, spytał:

- *Razrieszytie otkryt'*. Powiedziałem: - *Otkrywajtie*. Otworzył, weszliśmy, stanął przed swoim gabinetem: -*Razrieszytie otkryt'*, pozwoliłem mu. Weszliśmy w asyście dwóch ludzi, żebym nie był sam. Siadł przy biurku, oparł się i powiedział: - *Kto mógł podumat'!* To był znamieny moment.

Byłem ubrany już po swojemu, elegancko; nie w mundurku, ale z numerami - z dyskretnym numerem. - *Razreszytie wziat'*. Zgodziłem się, znalazł te akta, pokazał mi, że to jest to. Potem powiedział, że ma do mnie prośbę. W stolarni mu zrobili półeczkę dla żony; czy on by mógł ją wziąć? Mówię, że "nie będziecie tego nosić, każę wam wynieść na wartownię i zabierzecie; tu nie wypada". - *Charaszo, charaszo*. Bardzo był mi wdzięczny. Taki drobiazg! Jak małego formatu byli to ludzie. Kazałem wynieść tą półkę, on ją zabrał z wartowni. Barak został z powrotem zaplombowany.

To jest jedyne potwierdzenie, że zostałem przez komitet uznany jako władza, w tej części. I straciłem ich z horyzontu. Zaraz się u mnie zjawił kucharz, szef kuchni, w pokłonach - nowa władza. Co mi przygotować na obiad? Mogłem befsztyka dostać i wszystko... Nie wiem, chyba kopnąłem go czy coś takiego, wyrzuciłem go; kazałem przynieść porcję podstawową, 300 gramów, którą jadłem demonstracyjnie, z

wszystkimi.

Następnie zacząłem rozmawiać z przedstawicielami grup narodowościowych. Miałem do rozstrzygnięcia problem co dalej? Byłem zdania, że komitet absolutnie... nie wybrnie z sytuacji. Widziałem trzy warianty. Jeden: kapitulacja, drugi: atak w kierunku wyzwolenia Workuty, pierwszy wystrzał "Aurory" - zdobycie radiostacji, lotniska, wezwanie pomocy amerykańskiej, międzynarodowej. Dalles wtedy, co przedrukowała "Prawda", powiedział, że gdziekolwiek ognisko buntu w walce o wolność w Związku Radzieckim wybuchnie, to oni pomogą. To jako prowokację cytowano, że Amerykanie ingerują w sprawy wewnętrzne Związku Radzieckiego, z tym komentarzem.

[Gazety nigdy nie były cięte, cenzurowane?]

Nie, te oficjalne nie; żywcem...

Więc to wiedziałem. Albo trwanie w biernym oporze, do końca.

[To znaczy do czego?]

Ewentualnie żeby zapłacić ofiarę krwi za to, żeby się zmieniło, żeby swoim uporem i tą ofiarą zadokumentować, że granica wytrzymałości została przekroczona i ludzie nie ustąpią; można ich zabić, ale nie można zagonić z powrotem do łopaty, do niewoli. Tak rozumowałem. Ze byśmy mieli ją zapłacić, co najwyżej. I decyzja leżała w moich rękach, bezwzględnie, co będzie dalej; rzeczywiście tak do końca było.

Gruchnęła wiadomość, że Amerykanie rzucili bombę atomową w Korei. Dla mnie był to sygnał, że jest to moment do ataku; świat idzie na konfrontację i będzie bezcenne, jeżeli gdzieś będzie ognisko buntu. Będzie pomoc, to może być przyczółek, który będzie rozszerzany. Trzeba zaczynać. W związku z tym

spotkałem się z przedstawicielem Ukraińców, w Komitecie zresztą, z Rypeckim. To był felczer, z polską maturą, bardzo kulturalny chłopak. Okazało się, że oni są gotowi być w odwodzie - wobec tego nie ma co na nich liczyć. Potem szukałem pilotów, radiowców. Zenia Gaier, Rosjanin, skończył szkołę szpiegowską w Holandii, miał 17 lat. Twierdził, że wysadził transport fachowców chińskich gdzieś w głębi, daleko, na wschodzie. Nie udowodnili mu, dostał 10 lat. On był specjalistą od radia. I wyższych oficerów, generałów nawet [szukałem]. Plan był wyizolowania elementów kryminalnych do oddzielnych obozów i jakich, ustanowienie władzy cywilnej, cały plan.

[Razem z kryminalnymi byli tam polityczni?]

Np. ktoś, kto zabił milicjanta, mimo, że to bandzior zwykły, był już politycznym. Ale były obozy, w których była nawet przewaga kryminalnych. Niewiele. Ten element był przemieszany, mógł być bardzo niebezpieczny w warunkach przełomu.

Te wszystkie rozmowy, nie wiem, na ile... dzisiaj jestem w rozterce, na ile to było poważne. Upływały godziny, decyzja była konieczna. Byliśmy w stanie oblężenia. Mogli w każdej chwili nam wyłączyć wodę. Żywności było może na parę tygodni w tych warunkach. Trzeba decydować natychmiast, przeciwnik nie będzie czekać. Przegląd stanowisk; karabiny maszynowe stały z punktu widzenia wojskowego za blisko naszych drutów - dla nas dobrze, wystarczyło obalić słup, który by położył druty kolczaste, zabili by kilku ludzi, na pewno nie osiemdziesięciu. Byśmy odwrócili karabiny maszynowe - było mniej więcej 15 tysięcy wojska na 140 tysięcy więźniów. Jak byśmy wyzwolili pierwszy obóz, to byśmy uderzyli na następny już uzbrojeni. Worskutę byśmy zdobyli na pewno. Ale potem by nas zbombardowali, jeżeli by nam nie okazano pomocy z zewnątrz, to było oczywiste. Tak by się musiało skończyć. Ale bomba atomowa - tzn. świat idzie na konfrontację.

W międzyczasie przynoszą numer gazety; ogromny tytuł "Zawieszenie broni w Korei". Tą plotkę o bombie atomowej puścił Maluszenko; był "jastrzębiem", dążył do konfrontacji - ten jego wyskok wtedy... To była plotka. Jak dostałem tę gazetę, natychmiast było dla mnie jednoznaczne, że nie ma mowy o konfrontacji. Nikt nam nie pomoże. Świat będzie czekać.

To było dzień czy półtora dnia po [wyjeździe komisji]. Wszystko sześć dni razem.

Alarm bojowy - zostało to zaniechane. Wariant o kapitulacji odrzuciłem, takiej bez oporu, jako że za duże ofiary już były poniesione, byśmy się cofnęli. Trzeba zapłacić cenę, bo tamci też nie ustępują.

[A jak daleko pewien był Pan swojej władzy?]

Widziałem, że ludzie mnie słuchają. Miałem już taki autorytet, że mogłem... Zrobili by to, co bym powiedział.

[Nawet - na Śmierć?]

A tego nie byłem pewien. Miałem trudności. No już reakcja Ukraińców. Może nie znalazł bym tych 20 - 30 ludzi, którzy mieli uderzyć. Musiałbym iść pierwszy. Nie było mowy, żeby nie pociągnąć za sobą ludzi.

[A chociaż Polaków był Pan pewien?]

Nie, nikogo, nikogo nie byłem pewien. Był to plan, ale czy byłby on... czy byliby ryzykanci, którzy by poszli? - wątplię. Może miałbym duże trudności.

Przyszła rano szóstej bodajże dnia. Obudziłem się z koszmarem. Z koszmarnym poczuciem nadciągania katastrofy. Ponieważ ze wszystkich stron płynęły walczyki Dunajewskiego. Sielanka. W nocy oni zmontowali na słupach naokoło obozu megafony (A nie było ich przedtem?) - Nie było. W nocy, tej nocy, specjalnie. I puścili muzykę rozrywkową, rosyjską, lekką. Wiało koszmarem z tej muzyki. Szybko się ubrałem, wyskoczyłem. Obóz był trochę na górze; była dolina przed nami od strony wartowni i wejścia do obozu, którą nadciągały kolumny wojsk, samochodów sanitarnych z czerwonymi krzyżami, straży pożarnych. Demonstracja siły. Tak, jak w szyku bojowym, na jakiejś panoramie bitwy, podjeżdżali pod obóz, ustawiali się w różnych kolumnach.

[To były miejscowe, ściągnięte oddziały?]

Trudno powiedzieć. Raczej były podciągnięte, to nie była ochrona normalna obozu. Musieli mieć ruchome jednostki, które były ściągnięte do zadań.

Doszedłem do wniosku, że będziemy musieli stawić bierny

opór najpierw, a więc uniemożliwić im sforsowanie obozu, rozproszenie nas i wejście. Zacząłem mobilizować ludzi, żeby zebrać tłum pod bramą. Mogło by się to nie udać, ale ludzie szli. Pamiętam taki moment, kiedy wszedłem do jakiegoś baraku - robiłem to sam i energicznie - i dwóch grało w szachy. I kiedy powiedziałem - "pod bramę!", to oni ironicznie jakoś tak... Kopnąłem ten stół, szachownica wyleciała, epitet poleciał. Okazało się, że to było dwóch prowokatorów, na służbie wywiadu miejscowego, którzy później w sądzie zeznawali, twierdząc, że ja aktywnie ludzi mobilizowałem pod bramą. No, było tak rzeczywiście. Ja to tłumaczyłem, że uważałem, że ludzie powinni sami zdecydować, nie jakiś komitet. Przeciwstawiłem się komitetowi; nie organizacja czy grupa, tylko ludzie powinni wyjść i sami zdecydować - chcemy iść czy nie chcą usłuchać. To było naiwne, oczywiście, grubymi nićmi szyte.

Wtedy sam pobiegłem pod bramę. Pierwsze szeregi stały - jakieś 5 metrów za sobą miały hasło "Niech żyje rząd radziecki na czele z Malenkowem i Zukowem. My za radziecką ojczyzną". Ludzie stali najpierw luźno. Wlazłem na jakiś słup, podtrzymali mnie; byłem na poziomie głów i wygłosiłem krótkie przemówienie, którego treścią było: trzymać nerwy na wodzy, nie dać się sprowokować i spokojnie. I patrzcie na mnie, kierujcie się na mnie; tu się rozgrywają nasze losy. I zląłem. I koniec.

[Nie było sprzeciwu Żadnego?]

Zadnego, absolutnie. Tłum był wtedy ... w ręku. Było wszystko do zrobienia.

[A Pan mówił po rosyjsku?]

Tak; doskonale mówiłem po rosyjsku. Wiersze pisałem po

rosyjsku później. Napisałem taki wiersz pod tytułem "Epoka Stalinska" [tu nastąpiła deklamacja wiersza; w języku rosyjskim] Za taki wiersz 10 lat to było gwarantowane.[...]

Otworzyła się brama. Na podeście wartowni pojawiła się grupa oficerów, wśród nich major, którego bezwzględnie widziałem w komisji moskiewskiej. Do obozu weszło około 30 strażników, bez broni, naszych miejscowych, którzy usiłowali ludzi rozepchnąć jakoś, rozpędzić. Było to niepoważne. W tym momencie ludzie wzięli się pod ręce, zrobili łańcuch, spięli się. Na drodze było, myślę, około tysiąca ludzi; a trzy tysiące było w barakach. Nie sposób było nawet jednego wyszarpnąć. Zaczęli czapkami chyba w nich rzucać. Oni się wycofali... Albo przed, albo po tym, ale chyba przed tym, ogłoszono pierwsze ultimatum. Zachrypiały głośniki, muzyka zamilkła i ogłoszono...

[Cały czas muzyka była?]

Trudno mi powiedzieć; wtedy byłem tak zaaferowany, że już gubię tło.

Ogłoszono ultimatum. Nie pamiętam dokładnie jego treści, ale, najkrócej mówiąc - opuścić obóz, wyjść w dolinę między wojska. I koniec. Wrócić do pracy, chyba ten motyw się przewijał. Ludzie zareagowali na to w taki sposób, że około stu, bokami, jak szczury, zaczęło się wymykać, i stop. Ponowiono drugi raz to ultimatum, i znowu kilku zaledwie wyszło i koniec.

[A poprzednio stu?]

Około stu.

[To mało?]

Mało; ich ludzi, prowokatorów... Znikomy ułamek, tłum na to w ogóle nie zareagował.

Ja po tym przemówieniu wróciłem do pierwszego szeregu. Złapano mnie pod rękę i znalazłem się po środku drogi; rząd około dwudziestu ludzi w poprzek drogi. Za moimi plecami ciasno. Zmilkły głośniki, już nikt nie wychodził. Wtedy ten major z komisji moskiewskiej zaczął wołać do mnie:

- *Парень! Выходи адін, гаваріт, пака врэмя - vychadi!*

W moim przekonaniu on nie próbował rozbić jedności, że przywódca wyjdzie, to..., tylko on wyraźnie mi współczuł. Wiedział, co będzie za chwilę i chciał mnie ratować; z jakiejś sympatii...

[Był młody?]

Młody, myślę, że nie miał więcej jak 35 lat.

Wtedy weszła grupa żołnierzy i próbowała to rozbić; nie wyszło, wycofali się. Podeszli blisko oficerowie z aparatami fotograficznymi, zaczęli fotografować. Ludzie zasłaniali twarze. Na wszystkich zdjęciach wyszły transparenty; ja to widziałem w akcie oskarżenia - wielkie fotosy z tymi transparentami. Sądzę, że te hasła odegrały bardzo ważną rolę w tym, co się działo później. Przedstawiano nam te dowody.

- "A wyście myśleli co innego!" Nad tym można się gimnastykować, co myśmy myśleli; tu są dowody. Mieli ciężki kamień z tym.

Ja zignorowałem to, co on mówił. Na pierwszym planie pojawił się strażak. Jak z operetki - w granatowym mundurku, w hełmie srebrnym, z pasami i sikawką; pompy nie pracowały. Brak koordynacji. Stał bezradnie przed tłumem, o dwa, trzy kroki. To się robi z daleka, z bramy! Wchodzi się z wodą już pod ciśnieniem!. To było... 30 sekund może. I ktoś sięgnął po ten wąż. To było blisko, może krok; wyszedł... I w tym momencie huknęły strzały.

To jest moja relacja. Inni widzieli to inaczej. Każdy po swojemu widział.

Obok siebie, z lewej strony, miałem starszego człowieka, zupełnie łysego; jak wiedziałem, był kapitanem armii litewskiej, przedwojennej. Po prawej miałem Uralskiego, którego, miałem nadzieję, że mi ustrzela w tym wszystkim. Śmieszne - ta taka dwoistość; z jednej strony się broniłem przed tym, że mogę ja zginąć, ludzie, a z drugiej strony go ciągnąłem, żeby go tam... Szanowałem jego talent, ale jednocześnie wiedziałem, [kto] to jest. Zobaczyłem kątem oka, że ta łysa głowa [została] roztrzaskana; moment był, kiedy zmiotło mu, dosłownie, on się wysunął... i w tym momencie ja dostałem. To był pierwszy ogień. Kula przeszła pod pachę, wyszła, weszła drugi raz i tu ugrzęzła. To było z pepeszy, gdzieś jakby z wieży wartowniczej, na ukos. Poczułem uderzenie, zrozumiałem, że jestem ranny. Pierwszy moment - wydawało się, że może w powietrze. Cicha nadzieja, że to jest ostrzegawcza salwa. Ale oni otworzyli ogień z wszystkich stron jednocześnie. Na ten pierwszy strzał posypała się lawina - po obozie, po barakach, po wszystkim. Rzuciłem się w prawo, jeszcze dostałem w rękę - dziura, ale okazało się, że nie na wylot; musnęło. Tam był jakiś budynek magazynowy i rów. Stoczyłem się do tego rowu. Jeszcze mi trafiło rękę i w momencie instynktownego zwrotu plecami do ognia zobaczyłem tą czarną drogę i tłum - tak, jak pszenica pod gradem, pod wichurą. Ludzie - kurtki, odwróceni tyłem, których siekły kule tak, że druty elektryczne, przewody, nad drogą zostały przecięte i położyły się na zwalach już zabitych, rannych... To była migawka. Znalazłem się pod tym budynkiem, gdzie już nie było krzyżowego ognia [kul]. Szybko przepełziłem rowem i

byłem poza polem głównego ostrzału. Biegłem w głąb obozu, drogą, lewą stroną, do pierwszych baraków, między barakami. Ludzie zginęli w barakach, na pryzkach... W drugim końcu było ambulatorium. Kiedy wbiegałem do korytarza, to firaneczki poruszał wiatr, był piękny, słoneczny dzień, okna otwarte, korytarz kryty linoleum, błyszczącym; czyściutko. Białutkie drzwi. Cisza, świat zupełnie oderwany od tej rzeczywistości sprzed kilku sekund.

Nie wiedziałem, czy umrę z a r a z , czy nie, co ze mną jest. Dopadłem tam i byłem chyba pierwszym opatrzonym. Szpital był blisko bramy, na lewo, a ambulatorium w drugim końcu obozu. W momencie, kiedy mi robiono opatrunek, wbiegł człowiek, któremu mózg wypływał między palcami. Osunął się, umarł. Za mną masa rannych; dobiegali tam. Doszedłem do wniosku, że ja jestem mało poszkodowany - żyję i nic mnie nie boli w tym momencie.

Kilka sekund ochłonałem, wyszedłem. Byłem obandażowany; miałem obandażowaną rękę. Skierowałem się do szpitala. Szukam kontaktu z paroma ludźmi, którym chciałem powiedzieć, żeby pary z ust na temat spisku... by pamiętali, że to jest nieistniejąca sprawa. Wszyscy z daleka ode mnie uciekali, jak od zarażonego.

[Strzały były tylko na początku, krótko trwały?]

Trudno mi powiedzieć; znalazłem się poza polem ostrzału i już nie rejestrowałem dalej. Zupełnie.

[Słuchowo też nie?]

Kiedy stamtąd się oderwałem, to jeszcze trwała strzelanina. To było błyskawicznie, ja się stamtąd zmiotłem; z tego pierwszego szeregu niewiele zostało.

Doszedłem do szpitala, w którym pełno już było rannych.

Znalazłem wolne łóżko, położyłem się. Obok położono jakiegoś Ukraińca, zapomniałem nazwisko; młody chłopak, w piłkę grał dobrze. Umarł za chwilę. Przynieśli na to miejsce drugiego, a trupa wyrzucili; był taki pomost, pod nim trupy znosili. I tak umierali, co chwilę. Trwały operacje, pracowali lekarze.

Nosiło mnie, nie mogłem uleżeć. Wstałem, zobaczyłem, że przemaka mi kurtka, więc wyszedłem, ze stosu trupów ściągnąłem kurtkę czystą. Tam był ten święty obrazek przestrzelony [widziałam obrazek]. Zapiąłem się starannie - nie było nic widać, że jestem ranny. Wyszedłem na ten pomost; [ujrzałem] krajobraz po bitwie. Chciałem zobaczyć, zarejestrować to jako właśnie pole bitwy - trupy, drogę w dali było widać, zmywali [z niej] krew, już była prawie uprzątnięta z trupów. Zarejestrowałem, że jest to nowy etap walki, teraz nastąpi dalsza rozgrywka, ale już w innej płaszczyźnie. Psychicznie się naładowałem... zapamiętać to i od tego momentu zacząć nowy etap, który był nieznaną kartą, zupełnie.

Poszedłem do baraku, miałem tam nie skończoną szkatułkę i cukier. Przeniosłem to do szpitala, do szafki nocnej przy łóżku i poszedłem przez cały obóz do stołówki. W stołówce już wydawano porcje, formowano grupy do wymarszu, do pracy.

[To znaczy po tej pacyfikacji wrócono jakby do normalności?]

Wypędzono część ludzi pomiędzy wojska, ale w zasadzie większość została w obozie. Wyławiano spośród nich aktywistów, których oni znali; aresztowania trwały, a resztę formowano już w brygady, karmiono i do pracy wypędzano.

Usiadłem przy stole, pobrałem chleb, łyżkę i czekałem, aż naleją zupę, czy jadłem, już nie wiem. Pojawiło się dwóch

strażników, otoczyli mnie i aresztowali. To byli miejscowi, tobozowi; zostałem rozpoznany. Prowadzono mnie przez obóz, ludzie z daleka obserwowali. Koło tej drogi, ścieżką, do samej wartowni. Z daleka stała grupa oficerów, między innymi oficer kontrwywiadu Siewow. Jak mnie zobaczyli, to ten właśnie krzyknął:

- *Te!, jakieś wyzwisko, żywoje Strielok, widzi jewo i strielaj!*

Ten, pepeszę chyba miał, przygotował. Za obóz - tam był rów i kilka krzaczków. Jak przechodziłem, ten za mną, rzucił chleb, łyżkę i wyciągnął rękę i ten zakrwawiony bandaż. Jeden z tych oficerów krzyknął:

- *Stoj! On raniony, nie nada!*

Kazali mnie siąść w rowie, ktoś krzyknął: - "lekarza!" Przybiegła lekarka w białym fartuchu, rozbandażowała mnie, powiedziała, że ciężko, przez płuca przestrzał, wyjaśniła. Zabandażowała z powrotem i odprowadzono mnie do więzienia, do tego właśnie baraku, który był wyzwolony. Tam były cele, metalowe drzwi, normalne więzienie. Ztrzasnęły się za mną drzwi. To był koniec tego etapu.

Straszliwie mnie zaczęło boleć. Uszkodzony miałem nerw, kula utkwiała w ręku. Nie bolało miejsce zranione, tylko palce - do dziś dnia mi młotek wypada i drętwieją. Z bólu piszczałem. Drzwi na głucho zamknięte i koniec; o żadnym jedzeniu, nic. Nienawiść. Potem przyszła zmiana warty. Okazało się, że objął służbę strażnik ze mną zaprzyjaźniony, który bezskutecznie czekał na szkatułkę; nie mógł się dopchać, żeby mu to zrobić, zwykły żołnierz, więc co tam... Siedziałem sam. W sąsiedniej celi siedział Gryczanik i chyba dwóch jeszcze z komitetu. Gryczanik był, doradca Buca, lekko

ranny, w rękę, zdaje się. Do strażnika mówię:

- Słuchaj, chciałeś szkatułkę - jest, nie skończona. Pójdź do szpitala i tam w szafce, w takiej to sali - jeśli nie ukradli.

Poszedł, przyniósł mi ten cukier, znalazł szkatułkę, podziękował. Na drugi dzień przyniósł mi wódki, jedzenie, czystą koszulę. [Pytał, czy mam jakieś życzenie, co bym chciał? Mówię: - żeby do kolegów, ewentualnie... I to było fatalne. Jak on otworzył drzwi celi, jak wszedłem, to oni mnie przyjęli wrogo. Nie pasowało im, że czuć ode mnie wódka (żeby zabić ból!), że mam czystą koszulę, z kołnierzykiem, nieobozową. Natychmiast byłem podejrzany, już byłem obcy. Już nie męczennik, nie... Znowu nie tak wszystko było. Nie chcieli ze mną właściwie rozmawiać. Półśłówkami...

Ja w tej celi... Dwa czy trzy dni później [strażnik] przyniósł mi wiadomość, że Rudenko został generalnym prokuratorem Związku Radzieckiego. Doszedłem do wniosku, że nas wykończy. Przynosił mi stale wiadomości - że otworzyli sklep, gdzie można kupić, że płacą pieniądze, budują barak dla widzenia z rodzinami, że zmiany. Przynosił gazety.

Czułem, że mam kulę; mogłem stracić rękę, więc zgłosiłem, żeby mi zrobili operację. Usłyszałem, jak ten z kontrwywiadu powiedział na korytarzu, że "nie ma po co mu wyjmować jednej kuli, jak mu wsuniemy dziesięć". Strażnik mi w nocy powiedział, że przyjdzie i mnie zaprowadzi do szpitala. Po cichu wypuścił mnie, felczer, Litwin, czekał. Przeciął - to było pod skórą, blisko; kula wypadła. Schowałem ją na pamiątkę. Potem, przy rewizji, oni mi zabrali. Ja się tak wściekłem, że mało tych drzwi żelaznych nie rozwalilem. Już wtedy nie panowałem nad sobą; już mi było wszystko jedno.

Pewnego dnia, minął mniej więcej miesiąc, wyprowadzili mnie do szpitala, gdzie Walentina miała wydać opinię, czy mogę być transportowany, czy jestem wyleczony dostatecznie. W oczy nie patrzyła. W fartuchu białym, obsłuchiwała, powiedziała, że jest w porządku. Wtedy podjechał pod bramę samochód więzienny, wyprowadzili mnie; dwóch z naganami gotowymi do strzału. To był najfatalniejszy moment tego wszystkiego, depresji zupełnej - myślałem: - tak, jak przewidywałem, zgniję gdzieś w jakiejś twierdzy, gdzie mnie Rudenko zapcha, w jakichś lochach, i po co? Dla tych Ukraińców? Dla kogo? Tych kilku Polaków, którzy byli...? Czy warto? Przeklinałem swój własny charakter, że się angażuję, że nie jestem w stanie powstrzymać się, żeby nie wleźć w najgorsze awantury.

Wsadzili mnie do samochodu i wieźli gdzieś, po wybojach, trzęsło strasznie. Podjechali tyłem do jakichś drzwi. Budynek miejski, korytarz, na lewo cela. Ale właściwie normalne pokoje, zakratowane. Zaraz mnie wezwano. Długi korytarz biurowy. Wprowadzili mnie do gabinetu, zza biurka wstał młody lejtnant, dwie gwiazdki. powiedział:

- *Ja lejtnant Łożkin, wasz śledowatiel.*

Podał mi rękę. Kiedy zrobiłem wielkie oczy, zrozumiał moje zdziwienie i powiedział:

- *Lech Mieczysławowicz, u nas siejczas wsio po zakonu.*

Tyle się zmieniło przez ten krótki czas.

Oni mieli śledztwo całej grupy, którzy byli zdrowi. Ja nic nowego nie mogłem wniesć, właściwie wszystko wiedzieli. Były to długie rozmowy o samochodach, cywilizacji, filozofii, nie wiem, o czym jeszcze. Z przemiłym młodym człowiekiem. Byłem odwożony do więzienia. Wypisali mi jakieś pieniądze,

mogłem kupić w miejscowym sklepiku margarynę, chleb, inne rzeczy. Zacząłem lepić dla strażników kwiaty z czarnego chleba. ręka mi się trochę podgoiła. Siedziałem z Łotyszem. Straszne: "nie jestem sam i nie jesteście we dwóch", jak się siedzi z kimś nieporęcznym. Uważał się za kapitana wielkiej żeglugi, palił fajkę; maniak, beznadziejny facet. Gdzieś się wychylił i wsadzili go razem z nami. Potem siedział Litwin, bardzo bojowy, z kopalni nr 7, gdzie był przywódca. Tam jeden zginął, jakiś mały konflikt, była ta komisja też. On się ujawnił jako aktywista i go zgarnęli; tam chyba czterech tylko aresztowali. W ciągu miesiąca odbył się proces i on dostał 25 lat. Za kontrrewolucję, sabotaż i antyradziecką organizację.

Otworzyły się drzwi i spytano: -Kto pójdzie rozładować węgiel? W celi, gdzie reszta moich siedziała - może w dwóch czy w trzech oni siedzieli - "nie, nie, nie", nikt nie idzie, wszyscy są na władzę radziecką obrażeni. Idiocyzm kolejny! Można wyjść, czegoś się dowiedzieć. Ja z tą ranną ręką... Wychodzę. Wyszedł jeszcze z innej celi jakiś. Ładujemy ten węgiel. Pytam go:

- Ty kto taki?

- Lejtnant NKWD.

- Za co siedzisz?

- Nie pamiętasz? Był strajk na *cementnym zawodzie*, w marcu. Strzelaliśmy; czterech zabitych. Ja byłem dowódca, dałem rozkaz, żeby... Bunt był.

I oskarżyli go o zabójstwo. Ubolewał, że żona, jak go wsadzili, to jego ubranie posprzedawała. Mówi:

- A jak Amerykanie przyjdą, to co?

- Jedni cię rozstrzelają, drudzy cię powieszają; czy ci nie

wszystko jedno?

Tak się zmieniało!

Moi zaczynają robić głodówkę. Ja piszę grypsy, zostawiam w ubikacji, przyklejam, że "idioci! co robicie? Im dłużej, tym lepiej, czas gra na naszą korzyść. Siedźcie cicho, głodu nie ma, ciepło..." Byłem w konflikcie...

[O co była ta głodówka?]

Zeby prędzej wyrok, żeby sądzić [szybciej]. Błąd elementarny! Byłem skłócony z grupą. Wreszcie przerzucono nas wszystkich do jednej celi.

Przyjaźniłem się z Zeńką Gałere, tym radiowcem, natomiast Buca i tamci wrogo się do mnie odnosili. Tym niemniej Rypecki zgłosił wolę grupy, żebym ja reprezentował linię polityczną i nasze racje przed sądem.

Dali nam adwokatów. Jeden adwokat na pięciu czy na czterech wypadał; dwie kobiety. - *Po miensze budziecie gawarit', tak bolsze, kak dziesiat' let...* Jeżeli będę mało mówić, to więcej niż 10 lat nie dostanę. Odpowiedziałem, że już na siebie wzięłem dosyć i mam w nosie; nie będę! Nie mam ochoty, jestem na końcu listy, więc mam dobrą sytuację i nie chcę jej pogarszać.

Więc podjął się Rypecki. Zrobił to bardzo dobrze.

Pewnego dnia, po prawie sześciu miesiącach, chyba w wigilię 54 roku, doręczono nam akt oskarżenia. Z artykułu "kontrrewolucja, sabotaż i antyradziecka organizacja". Wszystkie najcięższe zarzuty antypaństwowe. Na trzynastu stronach był akt oskarżenia; dość wiernie zostały opisane wszystkie wydarzenia. Każdy dostał odbitkę. Znowu - co powiedział Łozkin: "po zakonu". Treść taka sama dla każdego.

W tym samym dniu przyszedł prokurator. Chciałem się z

nimi trochę poszarpać i powiedziałem, że nie będę po rosyjsku; co prawda mówię, ale nie dostatecznie dobrze, żeby w tak ważnej sprawie się bronić. Przysługuje mi tłumacz. A on mówi:

- *U was, Lech Mieczysławowicz, drugoje dzieło.*

Myślę - czy, że obywatelstwo? Bo oni to też ukrywali; robili mnie, że jestem obywatelką radziecką, bo byłem Zofia Kołpajło. A że Lech Kożuchowski z Warszawy, to - niech będzie Kożuchowski, ale obywatelstwo jest tamtej damy, którą ja niby byłem. Myślę - co oni tutaj knują? Tymczasem następnego dnia rano przywożą nas do sądu. Sąd jest uśmiechnięty. Wprowadzają, zaczynają czytać akt oskarżenia i - jesteśmy oskarżeni o *masowyje bezpariadki!* Zajścia uliczne, chuligańska rozróżba na ulicy. Artykuł, który nie jest polityczny; przewiduje do 10 lat. Tylko. Dziesięć - nie wyrok.

To było właśnie to, na co ja czekałem. Jakie jest tło tego, to jest nadal nie wyjaśniona sprawa. Dlaczego nas tak potraktowali i dlaczego sześć miesięcy? Wszystkich innych osadzono wcześniej. Był taki Rumun, niesłychanie skrzywdzony. Jego oskarżenia pod adresem systemu obozów, to było brak kobiet, znęcają się, przyrost naturalny w Związku Radzieckim zerowy itd. Na jego procesie, czy grupy, nie wiem, z której to było kopalni; nie pamiętam już też skąd przyszły do mnie te relacje... Proces był otwarty, w sądzie w mieście. Nikt nie poszedł oczywiście, ale była tam na zsyłce córka chyba ministra rządu Antonesku, Rumunka. Podobno piękna kobieta. Wiedziała o tym, że rodak jest tam sądzony, nakupiła bułek i jeszcze czegoś, weszła na salę [...] i siedziała. Takie szczątkowe jakieś relacje docierały, nie wiadomo już jakimi kanałami.

Po przeczytaniu tej nowej kwalifikacji rozpoczął się proces. Przesłuchiwano np. świadków tych, kiedy kopnąłem tą szachownicę. Ja akcentowałem cały czas odpowiedź Maslennikowa, że każde radzieckie audytorium... To chyba nie było przemówienie kontrrewolucyjne. Absolutnie odcinałem się od komitetu; że nie byłem członkiem żadnej organizacji, o co zresztą mnie nie oskarżali, ani nikogo, bo już wymazano ten... Jeszcze sobie napisałem wierszyk... Miałem czas, (sześć miesięcy).

Wreszcie, dokładnie o godzinie 22, na Sylwestra 54 roku sąd najpierw złożył nam życzenia noworoczne, następnie przeczytał wyrok. Buca - 10 lat, Maluszenko - 10 lat, taki marynarz bałtyckiej floty - 2 lata (tam było starcie pod więzieniem, gdzie on napuł na strażników, to mu zapamiętali). *Astałnych otprawlat'*. No i do domu; my do więzienia, oni świętować Sylwestra. W uśmiechach, jakby się rozchodzili z jakiegoś zebrania towarzyskiego. Zupełnie inny świat.

Wielkie zwycięstwo. Wróciliśmy do więzienia, tam nas jeszcze jakiś czas trzymali i potem w trybie administracyjnym dostaliśmy coś w rodzaju kolegium - sześć miesięcy obozu obostrzonego reżimu. Ale to była przystań; mały podobóz. Dostałem tam kabinę, przybudówkę przy baraku, pokój; z Zeńką Gałerem - on im radia reperował.

Przypominam sobie taką scenę, że do naszej kabinki, do Zeni, przynieśli radio z koszar. Przyszedł oficer, dwóch żołnierzy. Odbiornik lampowy. Pilnowali, żeby on, broń Boże, nie korzystał. Wreszcie, tuż przed zabraniem, [Zeńka] chciał zaprodukować im, że to gra i wszystko w porządku. Raptem ożył cały świat. Od fali do fali, tu angielski, tam francuski;

stacje po kolei. Tu buchnęła taka, tu inna muzyka... W pewnym momencie on się zatrzymał, jakaś boogie-woogie... Ta muzyka wtargnęła w ten świat; zupełnie tak, jak by wszystko przewróciła do góry nogami. Oni zamarli. Łowili każdy takt zakazanej muzyki. Było ich dwóch czy trzech, jeden drugiego się bał i każdy zwlekał o ułamek sekundy, żeby tego nie przerywać. W pewnym momencie któryś z desperacją rzucił się do odbiornika i wyłączył. Wszyscy odetchnęli - i znikli.

Następnego dnia nas wyprowadzili. Przewieźli mnie do obozu *Pierwaja Kapitalnaja*. To był najlepiej infiltrowany obóz, dobrze pilnowany. Na Worskucie, na miejscu; obok, za płotem. Od razu wezwali mnie do komendanta, majora, i spytali, gdzie miałbym ochotę pracować. Mówię, że:

- Słyszałem, że jest u was pracownia rzeźbiarska (budowali budynek NKWD i tam okładziny z granitu, stiuki z gipsu...) - tam.

- No dobrze.

Już byłem święta krowa. Było wiadomo, kto ja jestem.

Kiedyś jakimś Ukraińcom powiedziałem, że różni Polaków i że mogli lepiej użyć swojej broni. Chcieli mi kości połamać, ale ktoś się odezwał, odwołał na bok, szeptanie - "to ten..." Nikt mnie nie ruszył. Miałem autorytet.

Dostałem adres dziewczyny w Wilnie, którą mi polecono. Miała być taką obozową narzeczoną. Żeby łączność z krajem, paczki. Koledzy mieli rodziny w Wilnie. Teresa, nauczycielka francuskiego w szkole polskiej w Wilnie. Ona mi odnalazła rodzinę. Mój brat był dobrym fotografem [...]. Pewnego dnia przychodzi rulon - pisma, "Szpilki", "Przekrój", zdjęcia duże, fotosy. Bułganin i Zukow chyba, nie pamiętam... Dwaj przywódcy. I list: "Drogi kuzynie (bo inne nazwisko,

więc...), właśnie przyjmowaliśmy przywódców radzieckich, byłem na lotnisku, przysyłał ci fotografie". Jak oni to zobaczyli, bo wszystko cenzurowane, zostałem wezwany do komendanta. Mówi, że ma wielką prośbę jeżeli dla mnie to nie przedstawia szczególnej wartości, to czy bym nie mógł im tego podarować? Oczywiście. Ale to była panika - jak to, tu katorżnik i tam kuzyn o krok od przywódców radzieckich?! Mógł ich zabić przecież!!

Potem któregoś dnia przychodzą do mnie, mówią, że chcą zabezpieczyć, to może przepaść. Lepiej, jak będzie schowany u nich akt oskarżenia z procesu. I zabrali mi. Zrobili rewizję, zabrali. Ale zdążyłem dobiec do szpitala, gdzie Winogradow leżał, jeden z członków komitetu, i kupiłem u niego za 50 rubli [jego akt oskarżenia]. Jak przyszli do niego, to powiedział, że już dawno spalił to na skrętki, po co mu ?

Ja to zapakowałem do kałamarza, który dla Teresy wyrzeźbiłem, wysłałem do Wilna. Kiedy wróciłem, specjalnie pojechałem do Wilna, żeby ten bezcenny dokument... Tam były opisane wydarzenia, cały strajk żywcem opisany, zupełnie bez fałszerstw. To, co oni wiedzieli, to było napisane. Uważałem, że to historyczny dokument. I okazało się, że otworzono tą skrytkę (ja zasugerowałem, gdzie to może być), Teresa zaprosiła mego kuzyna Tadeusza Laskowicza, który jest dzisiaj w Miliczu, i on orzekł, że to trzeba zniszczyć, bo jest niesłychanie niebezpieczne. Zakopać w butelce gdzieśkolwiek... Niebezpieczne... I zniszczyli to. Przyjechałem do Wilna - niestety, przepadło.

Po powrocie w 1955r. do Warszawy, na krótko wyjechałem do Zakopanego. Byłem tam około trzech miesięcy. Niezwłocznie po powrocie, zamiast zająć przygotowany dla mnie w "Słowie Powszechnym" gabinet z tabliczką: E. Barcz - redaktor, wziąłem się za zbieranie materiałów dotyczących Polaków, którzy zostali w Związku Radzieckim. Zostało tam kilku moich najbliższych przyjaciół, a przede wszystkim Wiktor Jagoda, który miał poważne trudności z powrotem. Zacząłem od zbierania materiałów przede wszystkim w postaci listów - często rozpaczliwych, szalenie dramatycznych; od listów, które napływały ze wszystkich zakątków Związku Radzieckiego. Stopniowo stałem się jak gdyby ekspertem od tych spraw. Chodziłem z tym po rozmaitych urzędach państwowych, od Komitetu Centralnego zaczynając po Ministerstwo Spraw Zagranicznych, gdzie znalazłem najważniejszych słuchaczy.

Kiedy przyszedł przewrót październikowy, to byłem przygotowany do stworzenia organizacji, bez której jakby się wydawało, jak się przekonałem, nie było mowy o tym, żeby rozstrzygnąć sprawę repatriacji Polaków. Większość moich kolegów, którzy już wrócili, nie podzielała mojego stanowiska. Byli albo zstraszeni, albo po prostu niechętni. Uważali, że jest to zupełnie nierealne. Ale w chwili kiedy wypadki się potoczyły w sposób ^{re}decyzyjny, to samorzutnie powstał taki Komitet Pomocy Repatriantom na Wydziale Dziennikarstwa w Warszawie. Po krótkiej działalności został on prawie zlikwidowany przez Służbę Bezpieczeństwa. Wyłączono im telefon, obezwładniono. W tym momencie ja zgłosiłem się z gotowością przejęcia tej części roboty, którą oni już zdążyli zorganizować. Opierając się właśnie na tych ludziach, których liderem później okazał się Karol Badziak (obecnie od wielu lat dziennikarz łódzki

bodajże) i jeszcze opierając się na , w cudzysłowie, "uczciwych komunistach", których zdołałem pozyskać dla sprawy w momencie decydującym, to znaczy po dojściu Gomułki do władzy, spróbowałem stworzyć organizację najpierw jeszcze w oparciu o repatriantów - kolegów, którzy już wrócili.

Pyt. : - Był Pan wtedy prywatną osobą?

- Byłem wtedy prywatną osobą.

Kontaktowałem się z takimi ludźmi jak: Marek Kolendo - mój kolega z partyzantki i PAX-owiec, mecenas Saper, który wziął, zrobił już sobie z tego specjalność - właśnie sprawy Polaków i Żydów w Związku Radzieckim - działał bardzo energicznie, no i grono, szerokie grono kolegów. Niektórzy już wrócili.

Napotkałem na zdecydowaną niechęć i niewiarę w to, że działania moje są właściwe, czy mogą przynieść jakieś rezultaty. Ja pamiętam taką wizytę w Komitecie Centralnym na niskim stosunkowo szczeblu, bo te sprawy to gdzieś były przy-
szyte do jakiegoś nieomal Wydziału Budownictwa. Ludzie całkowicie niekompetentni, którzy mieli tylko taką wyuczoną formułkę: Jak Związek Radziecki skazał, to na pewno słusznie i nie było w ogóle o czym dalej mówić. Było to zupełnie niedrożne. Natomiast znaczne zainteresowanie, posłuch znalazłem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, gdzie(o ile pamiętam)był Rapacki; albo nieco później, albo już wtedy. W każdym razie była tam taka pani Maria Wierna i taka trochę niższego szczebla "Wanda Wasilewska", osobistość znana, która regularnie mnie przyjmowała.. Te materiały były przekazywane przeze mnie do MSZ-u, oczywiście w kopiach. No i w tym stanie rzeczy ja byłem w jakiś sposób przygotowany już do działania, w momencie kiedy te działania stały się możliwe. Zrobiłem sobie jakąś koncepcję polityczną wychodząc przede wszystkim z założenia , że

antyradzieckość wyklucza repatriacje; tylko utrzymanie -nie powiem przyjaznych, ale normalnych stosunków ze Związkiem Radzieckim jest warunkiem tego, żeby ci ludzie mogli wrócić. Z tego wynikało moje, że tak powiem ścinanie ludzi, którzy na jakiś zebraniach, w dyskusjach przyjmowali ton antyradziecki /..../, czasem bardzo agresywnie. Był to paradoks. Z jednej strony bano się, że organizacja, to nas posadzą wszystkich, a z drugiej strony były bardzo ostre reakcje słów, żale, które mogły być wyrażane prywatnie, ale na forum już organizacji czy działalności o charakterze poważniejszym były dla mnie, w moim zrozumieniu, zupełnie niedopuszczalne. No więc kilka moich takich wystąpień spowodowało, że orzeczono, że sprzedał się komunistom na służbę itd., w uproszczony zupełnie sposób. No i były już takie grupki kolegów porozumiewających się między sobą, którzy mówili, że trzeba tego człowieka wyeliminować, że to jest zdrajca nieomal itd.

Pyt.: - A gdzie się odbywały te zebrania?

- Zebrania odbywały się prywatnie w różnych mieszkaniach; czasem były spotkania, no właśnie na Wydziale Dziennikarstwa, ale to wszystko odbywało się w szaleńco, w szalenie szybkim tempie. Wiemy, że wydarzenia wtedy były rzeczywiście lawinowo, jedno na drugie to wszystko wchodziło.

Kiedy już było wiadomo, że Gomułka pojedzie do Moskwy, to na pierwszy plan wysunęła się sprawa tego, żeby on postawił sprawę repatriacji Polaków, żeby był o d p o w i e d n i o do tego przygotowany, żeby był p o d o d p o w i e d n i m naciskiem ludzi, którzy wymogą, żeby ten problem został postawiony. W związku z tym opracowałem (ja i inni również przychylali się do tego). - memoriał. Nie wiem która wersja została

doręczona Gomułce, bo wiadomo, że cztery osoby doręczyły któryś z tych tekstów i przeprowadziły z Gomułką rozmowę. Ja w tym udziału bezpośredniego nie brałem. Natomiast w opracowaniu tych różnych wariantów brałem udział. Drogi się jakoś tak krzyżowały.

W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że jest to chwila, w której trzeba stworzyć organizację. Zwróciłem się z tym do szeregu osób właśnie z kręgów repatriantów i AK-owców. Spotkałem się z z u p e ł n ą odmową jakiegokolwiek współpracy w tym kierunku. A to trzeba było robić j u ż d z i s, tego dnia albo następnego podejmować decyzję, zwołać zebranie, wybrać zarząd. Musiała być nazwa; musiał być program; musieli być ludzie.

Pyt. - A te cztery osoby z memoriałem do Gomułki to kto to był?

- Trudno mi dziś powiedzieć kto to był. Pan Franciszek Król więcej na ten temat wie. Ale nie wiem, czy wie na tyle dużo, żeby znał nazwiska ludzi, którzy doręczyli.

Pyt. - Czy były z grona osób zbierających się, dyskutujących o repatriacji?

- Być może ktoś z tego grona był, a poza tym trudno powiedzieć.

Przed południem rozpocząłem działania w ten sposób, że najpierw zawiadomiłem o tym, że w dniu takim i takim - czyli jutro - odbędzie się zebranie konstytucyjne Ogólnopolskiego Komitetu Pomocy Repatriantom. przy Czerwonym Krzyżu. Kiedy nadawałem tę wiadomość dla radia i prasy, bezpośrednio, telefonicznie, przez ludzi, to miałem już nazwę, miałem formułę nie pytając oczywiście nikogo w Czerwonym Krzyżu czy się zgadza na to. Ustaliłem, że zebranie odbędzie się w siedzibie Czerwonego Krzyża na Mokotowskiej 14.

Już od południa pod Czerwonym Krzyżem stał wóz transmisyjny Polskiego Radia i czekał. Kiedy zorientowano się w siedzibie, co

się święci, to prezes Irena Domańska kazała zabarykadować ławkami wejścia; poprzystawiali szafy i było jasne, że będą się bronić. Następnie spotkałem się z kilku po kolei osobami szukając wsparcia środowiska, które było tym zainteresowane. Z powodu odmowy skonstruowałem to inaczej.

Byliśmy po naradzie wieczornej w mieszkaniu mojej mamy na Jaworzyńskiej 8, na której nie było bodajże żadnego repatrianta ani AK-owca. Natomiast byli przedstawiciele studentów i szereg osób, które później weszły do zarządu Komitetu.

Pamiętam-ja byłem w sytuacji takiego Japończyka, który po trzydziestu latach dopiero się dowiedział, że wojnę się skończyła i wrócił i zastał zupełnie inny świat. Z tej Workuty wracając to ja nie miałem... Kiedy zaproponowano na przewodniczącego profesora Kotarbińskiego, pytam: kto to jest profesor Kotarbiński? - nie wiedziałem; no ale przytomny zapytałem ile on ma funkcji? Okazało się, że niezliczoną ilość. Stwierdziłem, że nie pasuje; to nie dla nas. Drugą kandydaturę pani Wanda Machlejt, późniejsza działaczka, bardzo energiczna, wysunęła. Był to Władysław Bienkowski. Wyjaśniła kim jest Władysław Bienkowski i to mnie przekonało. Już ta druga kandydatura wydawała się, że to jest to i nie myliłem się. Na zebraniu wieczornym myśmy ustalili szyfr, kto i jaki ma być zarząd. Co prawda miały być wolne wybory, ale jeżeli wysuwa się kolejne kandydatury wiadomo, że one zostają w takiej sytuacji przegłosowane. Ten skład reprezentować miał cały przekrój społeczny i polityczny, tak, żebyśmy wszędzie mieli swoich ludzi, żeby nas wszędzie popierano, a z nikim żeby nie popadać w konflikt. W związku z tym Kościół reprezentować miał ksiądz Zieja, znany kaznodzieja, prawa ręka kardynała Wyszyńskiego; Monika Żeromska ze względu na tradycje ojca;

Karol Badziak, dziennikarz - środowisko studenckie i młodzieżowe; Jerzy Zagórski, literat, wilnianin, znana osobistość; pani Wanda Machlejt, bardzo energiczna działaczka (z takim dziwnym nazwiskiem-pochodzi z jakiejś szkockiej rodziny), niesłychanie ofiarna; pani Irena Domańska, prezes PCK, u której mieliśmy się zagnieżdżyć i pani Nowosielska, prezes chyba warszawskiego oddziału Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Już sam skład mówił jasno, jaki jest program, jaki jest kierunek polityczny tej organizacji.

Pyt. - A czy osoby wiedziały? [ze mają być reprezentantami komitetu]

- Tak te osoby przynajmniej w połowie były obecne, konstruowały. Było chyba z kilkunastu przynajmniej siedem, osiem osób, które tu były. Inne po prostu typowane jak Monikę Żeromska, którą się zawiadamiało i była aprobata. Jedynie Władysław Bieńkowski, którego zaprosiliśmy już po zebraniu, kiedy Komitet istniał, odmówił dwukrotnie. Trzeci raz przyszedł, żeby odmówić i został. Niedługo został, bo niedługo potem Gomułka cisnął w niego kałamarnicą, ochlapał mu ubranie i ten podał się do dymisji. Przedtem był ministrem oświaty; no a Komitet już dalej, bo niewiadomo co się z tym stało.

Wtedy, mając tę całą koncepcję i tak to na tyle ustawione, doszedłem do wniosku, że przełamanie tej barykady w Czerwonym Krzyżu nie będzie możliwe bez sił nadprzyrodzonych, po prostu. Spotkałem się z jednym z naszych atutów, którym był Julian Chochfeld, profesor Chochfeld, którego mi się kiedyś udało pozyskać dla tej sprawy. Chochfeld mnie zabrał do Komitetu Centralnego.

Myśmy prosto z kawiarni na Nowym Świecie, gdzie Saper mi odmówił wszelkiej współpracy w ręce Chochfelda, dobrnęli tam pod (chyba) windę i szatnię, gdzie były tłumy generałów,

admiralów w hołdzie nowemu przywódcy, bo jak za późno przyjdiesz to będziesz podejrzany, że jesteś niechętny. Nie było mowy, żeby się tam w ogóle dopchać. ^{H/} Chochfeld mnie złapał za rękę i mówił, że nie tędy droga, a my pójdziemy trochę innym schodami. Znał tam wszystkie schody w Komitecie Centralnym. Tam jakiś żołnierz stał gdzieś przy płocie daleko z tyłu; jakies takie wejście. Dotarliśmy bodajże na drugie piętro; jakiś gabinet, sekretariat, krzątania, bieganie. ^{H/} Chochfeld coś tam poszeptał młodemu człowiekowi do ucha, ten znikł za drzwiami za chwilę wrócił, powiedział: Z tym do Albrechta. Ja pytam: - Kto to jest? - To jest człowiek Gomułki; Wiesław tam - wskazując na drzwi. Za tymi drzwiami był Gomułka.

Wywołano Albrechta z jakiejś konferencji i ^{H/} Chochfeld króciutko mu przedstawił i powiedział: - To jest towarzysz Barcz, AK-owiec; organizuje się Komitet w oparciu o aktyw akowski i studencki. Ten posłuchał chwilę i powiedział: - Działajcie towarzyszu Barcz, a probuję młodzieżowo - akowską linię Komitetu. W tym momencie przebłysk, jak uważam, inteligencji, czy Duch święty mnie natchnął, że powiedziałem: - Towarzyszu, ja zapraszam kogoś z Komitetu Centralnego na zebranie. Gdybym tego nie powiedział, nie wiadomo co by było. On odpowiedział: - Pojedzie dyrektor taki tam. Nie wiem kto to był. Za chwilę była czarna Wołga, ^{H/} Chochfeld gdzieś się ulotnił i ja z tym człowiekiem podjechałem pod Mokotowską.

Domańska pewno wyjrzała zza szafy; rozpoznała, że to dygnitarz z KC; natychmiast kazano szykować szatnię, tę barykadę rozebrano. Kiedy już przejrzałem, że obiekt jest gotów, krzesła ustawione, woda sodowa na trybunie /a mama mieszkała na Jaworzyńskiej parę kroków przez plac Zbawiciela, tylko na drugą stronę, była już wtedy godzina około piętnastej/, pobiegłem

do domu, żeby się przebrać, doprowadzić do porządku, wziąć jakieś dokumenty.

Pyt.: - A czy może jakąś datę pan podać?

- Nie ma. Trzeci, czwarty dzień rządów Gomułki, można ustalić.

Wtedy zadzwonił telefon. Pierwszy telefon to była Janina Duda, pułkownik Służby Bezpieczeństwa, która mnie wypuszczała w Milęcinie, i która później mnie niejako nadzorowała, ale robiła to w taki sposób, że ją na kawę zapraszałem a ona mnie nadzorowała. Już wiedziałem kto przynajmniej za mną chodzi; w tym sensie. Gratulowała^{mi}, że ona już wie. Za chwileczkę zadzwonił drugi telefon. Mówił Sznek, wiceminister spraw wewnętrznych, pełnomocnik rządu do spraw repatriacji, z którym ja już się znałem wcześniej dlatego, że któregoś dnia wszedłem do jego gabinetu, gdzie siedział również Kalinowski, generalny prokurator PRL. Kiedy powiedzieli mi, że ludzi osądził słusznie Związek Radziecki, tak samo jak w KC, to ja trzasnąłem pięścią w stół i krzyknąłem: - My was za mordę weźmiemy a ludzie wrócą. I tak trzasnąłem drzwiami, że o mało tynk nie odleciał. I podobnie po mało znaczącej rozmowie w KC. Więc w tym przypadku nie było nikogo. Koledzy nie aprobowali mojej bardzo ostrej gry. Wycofywali się. No i ze Szneckiem myśmy się znali; on mi się nie przedstawił; mówi Sznek i koniec. I mówi mi, że ma dla mnie miłą wiadomość, ponieważ załatwił mi już wyjazd do Związku Radzieckiego. Ubiegałem^{się o to,} bo miałem taką ^[do obozu] "obozową narzeczoną", dziewczynę, która mi tam wysyłała paczki i rodzinę odnalazła. Dość dużo^{jej} zawdzięczałem i chciałem pomóc jej w wyjeździe. Stamtąd miałem poza tym dokumenty ze strajku, o którym już była mowa w nagraniu, i chciałem te dokumenty bezcenne odzyskać i przywieźć do Polski. No więc miałem możliwość wyjazdu choćby następnego dnia do Związku

Radzieckiego. Sznek się nie zdradził z tym, że wie cokolwiek o zebraniu, ale kiedy mu powiedziałem, że właśnie jest zebranie, panie ministrze i serdecznie zapraszam, to wcale nie był zdziwiony. Był dobrze poinformowany. Powiedział: -Dobrze, przyjedziemy z Popielem. Popiel jest to też znana postać w tak zwanym ruchu robotniczym. Był ministrem żeglugi i jakieś inne funkcje w KC pełnił.

Kiedy znalazłem się już w Czerwonym Krzyżu, to już były tłumy, już sala się napełniała, już studenci zrobili odpowiednią reklamę, już ci nawet ludzie niechętni, którzy się nie podzielili, przyszedli z różnymi zamiarami; ale już wszędzie rano przytych rozmowach ja mówiłem, że o takiej godzinie jest zebranie i koniec. Postawiłem przed faktem dokonanym. Za stołem prezydyjnym znalazłem się pośrodku. Obok mnie siedział Sznek, potem Popiel. Miałem listę proponowanych kandydatów do Zarządu; Ustalono to wszystko było, kolejność. Na sali osoby z naszego grona były poinformowane jak reagować, żeby wybory wypadły według tego klucza. Nie wiem gdzie się tego nauczyłem, po prostu intuicyjnie, bo nigdy przecież tego nie robiłem. Wszystko miało być "demokratycznie".

Kiedy zrobiłem króciutki wstęp, to na sali odezwały się głosy właśnie napaści, typu napaść; słuszne żale zaczęto wyrażać, że to system niewolniczy, że z nimi nie ma co w ogóle gadać, że zamordowali tylu i tylu, a Katyń-padło od razu. Więc ja wstałem, bardzo ostro zareagowałem, powiedziałem, że "opuścić salę, że nie ma tu miejsc dla ludzi, których nie interesuje los tych, którzy zostają. Siedzicie tu już w użon, u matek pod pierzyną. Wam nic już nie grozi, ale tamci są zależni od tego jakie będą te układy", itd. No i to było jeszcze jedno potwierdzenie: -Sprzedał się komunistom. Natomiast Sznek

i ci zareagowali z zadowoleniem. Potem bardzo szybko wybory i wszystko poszło tak jak oczywiście należało. Zostałem wybrany sekretarzem. Proponowano najpierw, żebym był przewodniczącym /oczywiście na tym zebraniu u mamy/, ale ja powiedziałem, że ja potrzebuję mieć funkcję roboczą a nie funkcję reprezentacyjną. Musi być ktoś silny na zewnątrz, nie tak. No i zostałem tym sekretarzem.

Wtedy Radio zwróciło się o wypowiedź do programu, który miał iść za pół godziny czy za godzinę miał iść na antenę. Najpierw do Jerzego Zagórskiego - odmówił, ktoś następny z n o w u o d m ó w i ł. Byli to ludzie pozycją, stanowiskiem, elokwencją znacznie lepiej ustawieni niż ja. I nie było rady, ja musiałem dla Radia to krótkie wprowadzenie zrobić. Świadczy to o tym, j a k i j e d n a k był klimat, jaka była b o j a ż l i w o ś ć. Z jednej strony się r o b i ł o, z drugiej wszyscy się czaili i nikt nie szedł na całość. Poszło to, oczywiście, o godzinie osiemnastej, chyba, na antenę. Kiedyśmy się rozeszli, wrócili do domów, to następnego dnia już zaczął ten mechanizm działać.

A więc w Czerwonym Krzyżu podzielono to na sekcje poszukiwań na terenie Związku Radzieckiego itd. I te elementy ocalały później, bo takie biuro powstało i kartoteka powstała; potem już samoczynnie działała w ramach Czerwonego Krzyża.

Właściwie moja rola tu się skończyła, bo ja w ciągu następnych paru dni już odebrałem swoje dokumenty na wyjazd i doszedłem do wniosku, że będzie to bardzo dobrze, jeżeli inni będą tutaj działać, a będzie ktoś z nas tam. Więc traktowałem ten wyjazd już półprywatnie, co najwyżej licząc na to, że będę mógł dużo zrobić tam na terenie ambasady itd.

co było słusznym pod warunkiem, że się zapomina o wyrobieniu sobie pozycji, porzuca się stanowisko, którego się nie umocniło i nie obstawiało swoimi ludźmi. A ja nic nie zrobiłem tylko pojechałem tam. Na lotnisku w samolocie jeszcze poznałem taką miłą, aż nadto przystojną panią, która mi się przedstawiła jako aktorka teatru Wojska Polskiego. Potem okazało się, że jest kierownikiem działu na Uniwersytecie Marksizmu i Leninizmu. Znaczący kiedyś była aktorką też. Poleciliśmy do Wilna i ona już przy mnie została, jak gdyby.

Miałem w Wilnie pieniądze, które z jednej strony koleżdy z Workuty, ci o których się ubiegałem, szczególnie Wiktor Jagoda, wysyłali do Wilna. Potem rzeźbiłem, miałem zarobki /ostatnie parę lat w obozie byłem zupełnie wolny, właściwie robiłem co chciałem/, poza tym dostawałem paczki z domu i zgromadziłem pewien kapitał, który był u tej pani w Wilnie. Chciałem kupić samochód. Już w tym momencie jak był Komitet to już myślałem, że samochód jest bardzo potrzebny. Przecież bez tego nie sposób jest się ruszać. Tak czy inaczej trzeba było to przywieźć. Ale tego nie było dosyć, żeby był samochód. Więc szukałem kogoś z kolegów, kto by się dołożył, żebyśmy wspólnie to przywieźli. Po drugie sam nie mogłem przywieźć, ponieważ ja nie byłem już repatriantem. Mógł ktoś, kto właśnie wracał. Sprawy te również traktowałem jako swój obowiązek, żeby ludziom mówić, co mają przywieźć, żeby było to im się opłacało, żeby oni mieli z czego w tej Polsce zaczynać, co było potem odbierane jako nie licujące z zadaniami organizacji. Ja uważam wręcz przeciwnie. Potem okazało się, że te elementy sprawy były dość ważne w wydarzeniach, które nastąpiły dalej.

Z Wilna pojechałem do Moskwy i zostałem bardzo ciepło przyjęty w ambasadzie. Jeszcze należy wspomnieć, że pani

Nowodworska dostarczyła mi taki glejt z Towarzystwa Przyjaźni Polsko - Radzieckiej, gdzie było napisane: Generalny Sekretar Komiteta takowo to i prosi się o pomoc i opiekę przez.... . No więc już ja w tej siatce TPPR-u ,która była przecież organizowała różne wyjazdy, i była wprawiona. To już tu był profit z tego szyfru politycznego, jaki ja zaprogramowałem. Ten dokument bardzo mi się przydał w wielu sytuacjach.

W ambasadzie zaraz załatwiono mi hotel w Ostankino i ja stałem się nieomal etatowym urzędnikiem w ambasadzie. Łaziłem od gabinetu do gabinetu, szperałem w dokumentach. Wyłuskiwało się najbardziej rozpaczliwe listy, bo byłem w stanie nawet załatwić temu i drugiemu pracę w ambasadzie na czas, jak póki jakiś dokumentów nie było i nie mógł wyjechać. Paru kolegom załatwiłem. Zawarłem masę znajomości. Przede wszystkim pozyskałem cały niższy personel ambasady, który zajmował się właśnie repatriacją, bo już to w ślad za tym był wyjazd Gomułki, umowa o repatriacji. To zaczynało działać. Dzięki temu mogłem na miejscu popierać sprawę.

W Moskwie wtedy pełnomocnikiem rząd do spraw repatriacji został Kalinowski, tenże sam generalny prokurator, który wysyłał do obozów, do Rosji ludzi/ nieraz, nie były to częste przypadki, ale jednak czasami wywożono już i po wojnie stąd, z Polski/, który mi mówił, że to bandyci, prawda, których słusznie skazano. Wtedy odbyłem z nim rozmowę i on mi zaczął płakać, że my go tępiemy, że on się..., bo ja się chcę rehabilitować. Ja mu krzyknąłem: W PGR-e panie, nie tu!

Badziak zorganizował studencką demonstrację przed Cyrankiewiczem w Krakowie. Usunęli Kalinowskiego i na jego miejsce przyjechał Popiel.

Pyt.: - A demonstracja to kiedy mniej więcej?

- No to wszystko to jest..., to przecież w tej chwili mówimy: znowu no wręcz o pierwszych miesiącach rządów Gomułki po przewrocie październikowym, a więc to był styczeń gdzieś, kiedy ja byłem...,

byłem na Sylwestra w Moskwie. Więc wyjechałem w początku grudnia.

Pamiętam taką rozmowę u Popiela, w jego apartamencie, gdzie mówi:-Będziemy musieli się już pożegnać, ponieważ za chwilę przyjadą towarzyski, dla których nie zdobyliśmy hotelu; bo wie pan, to są żony...i padły historyczne nazwiska komunistów zamordowanych przez Stalina w Związku Radzieckim. Za chwilę z tobołkami pojawiły się kobieciny, na ogół w żalonym stanie, nieomal w łachmanach, zabiedzone, wychudzone. N i e d o b i t k i po prostu. Było to c o ś wstrząsającego, ale czuło się ten wiatr historii, ten przewrót kolosalny, przełom we wszystkim.

Potem zostałem zaproszony na bal sylwestrowy w ambasadzie i wiadomości miałem niepokojące; że na przykład w Wilnie,

we Lwowie zamknięto taki urząd - obir, który się zajmował repatriacją, że ludziom uniemożliwia się, tym którzy podpadają pod tą kategorię gdzie... . Krótko mówiąc, że Związek Radziecki narusza tę umowę o repatriacji. Siedziałem przy stole w czasie tego bankietu z I sekretarzem ambasady, cały czas rzeczywiście wałkowałem ten jeden temat, męczyłem go. On zerkał na tą piękną dziewczynę. Ona mi tam nawet dobre wejścia robiła, jakoś tak chętnie nas przyjmowano razem. Wtedy uzyskałem od niego... przede wszystkim on mi powiedział, że oni nie mają możliwości sprawdzić, to jest rejon zakazany dla dyplomatów... .-Proszę pana, ja mam zwykły dowód osobisty, jestem tu osobą prywatną,

mogę pojechać wszędzie, . ale musiałbym mieć waszą jakąś aprobatę. Powiedział:-Dobrze, proszę pana, to my sfinansujemy panu wyjazd, z tym, że odbierze pan pieniądze w konsulacie w Kijowie.- I zwróci mi koszty podróży.-Niech pan możliwie szybko..., życzę panu szczęśliwej podróży-i koniec.

Zaraz po Sylwestrze poleciałem do Kijowa. Tam rzeczywiście odebrałem pieniądze. Byłem tylko jeden dzień w Kijowie.

Poleciałem do Lwowa. Poszedłem pod urząd. Od ludzi zebrałem rozpaczliwe, właśnie, jakieś podania, listy, nazwiska adresy, ten m a t e r i a ł d o w o d o w y . Zobaczyłem te drzwi zamknięte, urząd nieczynny itd. No i od razu na samolot, nawet nie nocowałem we Lwowie i wróciłem do Moskwy.

W rezultacie tego poszła podobno interwencja do MSZ-u radzieckiego i podobno ruszyło we Lwowie. Był to wymierny efekt mojego pobytu tam.

Następnie, bodajże dwa razy, latałem do Wilna i z powrotem do Moskwy. W tym czasie znowu odwiedziłem wszystkie możliwe ośrodki polskie na wileńszczyźnie: szkoły polskie, rozmawiałem z ludźmi. Szykowałem materiał do raportu dla Komitetu o mojej podróży i jej wynikach.

W tym momencie moje sprawy prywatne, że tak powiem, tak się toczyły, że ja miałem już zadatkowany samochód w Moskwie. Był to prawie nowy Zim, duży ośmioosobowy samochód. Tam łatwiej było kupić duży luksusowy samochód niż tą Pabiedę, taką popularną, na którą były wielkie kolejki. Ale to kosztowało trzydzieści kilka tysięcy rubli. Ja miałem szesnaście tysięcy, co też było dużym pieniądzem. Marnego Moskwicza można było za to kupić. Potrzebny mi był partner do tego, żeby przywieźć. Nawet był taki moment kiedy pojechałem do Wilna i rozmawiałem z kilku osobami, które właśnie wyjeżdżały, i wśród kolegów również.

Był taki zupełnie tragiczny moment, kiedy wróciłem, pobyt mi się kończył. Wróciłem do Moskwy, brakowało mi pięciu tysięcy rubli. Korytarzem szedł jakiś pan i mówi: Wie pan my się znamy. Na imieninach u Wichelka myśmy się poznali. On był ożeniony z moją koleżanką. W jednym wózku ją wożono,

podobno. Taką Ewą Makowską. On mi mówi, że... . I opowiadamy sobie Ach - jakiś ~~se~~terek sprzedał i tłoki do Jawy kupił. Ja mówię:-
- on był z Żerania - . Panie inżynierze, ja mam samochód tu stoi, i pewnie przepadnie. Sprzedał jakiś generał lotnictwa w stanie spoczynku i powiedział, że jak jednego rubla zabraknie to nie odda. Zgadza się załatwić papiery, wszystko, żebym jak wrócić już mógł odjechać. Ale gotóweczka na stół. Ja nie miałem pięciu tysięcy rubli. -Więc on mówi:-Ach, proszę pana! -Już wsiadamy w metro, tam gdzieś jedziemy do Zośki czy do jakiejś Mańki, a ona mówi:-No, proszę pana, mam siostrę w Krakowie. Dobrze, proszę pieniądze. Pan odda w Krakowie siostrze według jakiegoś przelicznika i koniec.

Ja mówię do niego jeszcze:-Wie pan, ale ja nie umiem prowadzić samochodu. On mówi:-Proszę pana, są wybory w niedzielę, ja muszę być na wybory - jestem tu zaawidencjonowany. Chyba, żeby pan, tak pojedziemy, że ja będę mógł następnym samolotem prosto z lotniska i do Moskwy wrócić. No myśmy w taki sposób, on pojedzał. Ale to były perypetie. /.../

Próbowałem ten samochód prowadzić i wpadliśmy w poślizg. Samochód spadł z nasypu nieomal do rzeki i nic mu się nie stało.

Więc żeśmy dojechali do Wilna i nauczyłem się prowadzić samochód. Już wróciłem jako wykwalifikowany kierowca. Prawa jazdy nie miałem. No i były perypetie:

Wróciłem do Moskwy i już tam mi powiedziano w ambasadzie, że Służba Bezpieczeństwa za mną chodzi.

PA: - Moskiewska?

- Nie nie nie, polska - nasi. Jest przygotowywana prowokacja, żebym bardzo uważał.

Na prowokację nie ma co uważać, bo prowokacja polega na kłamstwie. To nic się nie poradzi. W każdym razie, kiedy wróciłem z raportem, bardzo obszernym, do Komitetu, bardzo ciekaw jak to wszystko działa - łączność między nami stale była, ale co innego być obecnym na miejscu - to położono mi na stole grubą kopertę, w której znajdował się donos moich kolegów /niejakiego Bolesława Nowika, który pod nazwiskiem Borsuk był na Workucie razem ze mną i jeszcze jednego, którego nazwiska w tej chwili nie pamiętam/, w którym powiedziane było, że nie jestem godzien takiego odpowiedzialnego stanowiska, ponieważ nie jestem uczciwym człowiekiem bo uwiodłem kobietę, której obiecałem małżeństwo./ Ona była dwukrotną rozwódką, jeśli ją miano na myśli, bo tam nie padło nazwisko; więc to było już zupełnie tak wyssane z palca/ Poza tym pożyczalem pieniądze na cele Komitetu, próbowałem w y ł u d z i ć pieniądze. Więc to co ja mówiłem, np. że mam samochód; Słuchaj! masz pieniądze - nie k u p u j telewizora ni tego, weźmiemy razem, prawda..., z kolegami z Workuty, to to zmontowano jako materiał. Teraz jak to było zrobione?

Było w taki sposób: że nadano do punktów repatriacyjnych żeby pytać ludzi, z Workuty szczególnie i z wileńszczyzny, kto mnie zna? Jak mówił, że mnie zna, to wtedy pokazywano mu tekst i proponowano odpowiednie wynagrodzenie za podpisanie tego tekstu. Rozmowy odbyły się w określonym pokoju w Warszawie u dyrektora, którego nazwisko Staszewski bodajże, czy jakoś inaczej. I ci ludzie zostali wynagrodzeni. Dwóch ich podpisało.

Potem wiadomym mi było, że oni zanim to podpisali, to oni to konsultowali w s z e r s z y m gronie kolegów, gdzie

doszli do wniosku, że właśnie komunistom się sprzedawałem i trzeba mnie usunąć. Nie ważne, czy to prawda czy nie prawda. W każdym razie jeżeli chcą, żebyście podpisali to podpiszcie. Oczywiście musiałem zawiesić swój udział w Komitecie.

Niezwłocznie zwróciłem się do adwokata i wytoczyłem proces o zniesławienie tym ludziom. Oni mieszkali w Wałbrzychu. Dość szybko odbył się proces. W rezultacie zapadł wyrok, w którym było napisane, że zostało to sfabrykowane /nieprawdziwe oskarżenia sformułowane zostały w MSW-u w gabinecie nr., przez dyrektora takiego/, a podpisali dlatego, że im za to mieszkanie, dobra praca itd., itd. A że wręcz odwrotnie, ja jestem jak najbardziej w porządku. Ale oczywiście była to musztarda po obiedzie, bo wówczas już, a nawet kiedy zapadł wyrok, Komitet już nie istniał, bo ja byłem tylko tą pierwszą przeszkodą, którą usunięto. Chodziło o to, żeby organizację zlikwidować. Następnie wyrok z wielkim trudem wydobyłem po czterech miesiącach dopiero z sądu. Naturalnie ktoś wpływał na to, żebym go nie mógł dostać za wcześnie. Wtedy co zrobiono?

Po mnie objął urząd tym razem tytułując się sekretarzem generalnym /bardzo to szybko idzie, ale to jest powtórka, to jest trudne o czym teraz mówiliśmy, to jest pewien proces jak gdyby nieuchronny tak jak prawa przyrody/. Zaraz się zaczęło, oczywiście, odpowiednio wysoka pensja. Ja odmówiłem przyjęcia jakiegokolwiek wynagrodzenia. Zaczęły napływać masowo dary z zagranicy; magazyn w którym były wspaniałe futra nawet. Dzielono się tym najpierw w zarządzie, może nie w zarządzie, ^{ale} w ścisłym kierownictwie - podobno, bo ja tego wszystkiego oczywiście już sam nie oglądałem.

Domańska pewnego dnia wyznaczyła kierowników placówek

Czerwonego Krzyża członkami zarządu Komitetu, a Komitet nazywał się "przy Czerwonym Krzyżu." Zrobiła ich zjazd czy zebranie. Uchwalili, że Komitet jest samozwańczy, że o n i stanowią prawdziwą władzę i uchwalili rozwiązanie Komitetu. Organizacja przestała istnieć.

Majątek i zasoby zgromadzone dla powracających przejęte zostały przez Czerwony Krzyż. Biuro Poszukiwań nadal działało, natomiast Komitet w ogóle przestał istnieć.

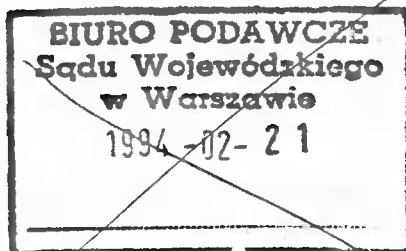
Komitet jeszcze zdążył powołać Komisję do zbadania tych zarzutów, której przewodniczył Jerzy Zagórski i werdykt był taki, że nie było niczego nagannego w moim postępowaniu, natomiast wykazałem lekkomyślność rozmawiając z kolegami. No przepraszam, to z kim ja miałem rozmawiać? Prawda. Tyle. Wszystko było niby w porządku. Komitet został zlikwidowany; tak jak wiele atrybutów tej demokracji młodej i wątkiej jakiej przyszło z październikiem gomułkowskim. Ofiarą tego pierwszy padł Komitet, ale przyczynił się bezwzględnie do tego, że bardzo duże fundusze już były napłynęły z zagranicy i zbiórki krajowe.

Pamiętam taki przypadek, kiedy przyjechała dziewczyna, która była z Warszawy wywieziona jako dwuletnie dziecko i był to sowiecki czołowiek zupełnie, gdzieś tam pracowała w jakiejś fabryce. Był problem, bo dostała tu mieszkanie, pracę na Żeraniu itd., i ona zgłosiła się, że wraca do Związku Radzieckiego. Dlaczego? - Patam, szto zdies' niet zaboty o czelawieka - nie ma troski o człowieka. To polega na tym - ona nam powiedziała - tam komsomoł, tu zebranie, tam potem masówka, tam coś jeszcze. Tu - nawracała do mieszkania, które jej dali - sama. Dalej nikt się nie zajmował tym co ona robi później. Jakie problemy powstawały. Na tym skończył się krótki epizod tego Komitetu.

ERIK BARCZ
TYLICE 7
59-900 ZGORZELEC

Tyllice 21.02.1994

I/25



Sąd Wojewódzki w Warszawie
VIII Wydział Karny
Al. Solidarności 127
00-598 WARSZAWA

Niniejszym zwracam się z prośbą do Wysokiego Sądu z wnioskiem o rozpoznanie mojego pozwu i zasądzenie od Skarbu Państwa R.P. odszkodowania i zadośćuczynienia na podstawie przedstawionych dokumentów.

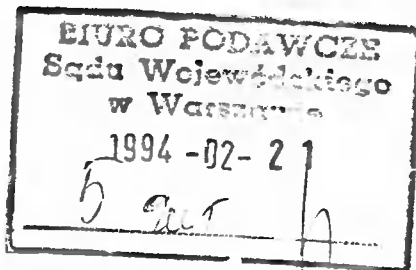
Załączam następujące dokumenty:

1. Karta ewidencyjna repatrianta nr 26/153
2. Decyzja nr 6022 z 15.01.1993 Kierownika Urzędu d/s Kombatantów i Osób Represjonowanych.
3. Kserokopia legitymacji kombatanckiej /uwaga - okres kombatanckiej i represjonowania po lipcu 1944 w stadium weryfikacji w Ministerstwie d/s Kombatantów/.
4. Kserokopia dowodu osobistego.
5. Artykuł z pisma "KARTA" nr 8 z 1992 r. Opis mojego pobytu na Warkucie. Dalsze materiały dowodowe w niniejszej sprawie będą dostarczane do akt w miarę ich pozyskiwania.

ŚWIADKOWIE :

1. JAN WYSZKOWSKI
00-759 WARSZAWA, UL. PARKOWA 13/17 m. 137
2. JADWIGA PAWLUKOWSKA
69-100 STUBICE, UL. KONST. 3 GO MAJA 60/4

Tylice 21.02.1994



Sąd Wojewódzki w Warszawie
Wydział Karny

Al. Solidarności 127
00-598 WARSZAWA

Wnioskodawca:

Bryk Barcz

Tylice 7

59-900 Zgorzelec

Pozwany Skarb Państwa R.P.

W N I O S K A

o wypłatę odszkodowania i zadośćuczynienia:

W imieniu własnym, na podstawie ustawy z dnia 25.02.91r. "o uznanie za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego" - Dz.U.Nr. 34 z dnia 23.04.1991r. poz. 149 i ustawy z dnia 20.02.1993 "zmieniającej ustawę o uznanie za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego." Dz.U.Nr. 36 z dnia 06.05.1993r. poz. 159. wnoszę pozew ^{odszkodowanie} o zadośćuczynienie od Skarbu Państwa R.P.:

1. Odszkodowanie w kwocie ..516.000.000,00... + odsetki od dnia wniesienia wniosku za niewolniczą pracę w kopalni węgla kamiennego na Workucie, za kołem podbiegunowym.
2. Zadośćuczynienie w kwocie .250.000.000,00... za poniesione cierpienia i ~~zniesione~~ rany postrzałowe, powodujące inwalidztwo.

U Z A S A D N I E N I E

do wniosku o odszkodowanie i zadośćuczynienie.

W końcu 1940 roku wstąpiłem w Warszawie do konspiracyjnej organizacji "Związek Walki Zbrojnej" a w 1943 do Konfederacji Narodu. 15.05.1943 skierowano mnie do formacji partyzanckiej "Uderzeniowe Bataliony Kadrowe". Formacja tajesienią 1943 r. wcielona została do Armii Krajowej. Mój udział w działaniach partyzanckich wymienionej wyżej formacji potwierdzony jest w wydanej w 1993 r. książce Kazimierza Krajewskiego pt. "Uderzeniowe Bataliony Kadrowe" /Wydawnictwo PAX/.

W lipcu 1944 r. brałem udział w walkach o Wilno. Za to zostałem odznaczony Krzyżem Walecznych. Po rozbrojeniu AK pod Wilnem kontynuowałem walkę z oddziałami NKWD, dowodząc samodzielnym oddziałem i występując stale w polskim mundurze. 15.08.1944 w miejscowości Bobrowice mój oddział został rozbity ^{a ja ranny}. Po wyleczeniu się w Wilnie, zostałem przez tutejsze dowództwo AK skierowany na stanowisko dowódcy plutonu do oddziału "TURA". We wsi Rowiny koło Nowogródka 29.01.1945r. oddział został rozbity przez wojska NKWD. Poległo 82 żołnierzy, do niewoli wzięto 25 osób, w tym 4 sanitariuszki. Aresztowany zostałem pod przybranym nazwiskiem Lech Kożuchowski syn Mieczysława, urodzony 26.08.1924 w Warszawie. 25.07.1945 wojenny trybunał ^{u Czarnewiczach} ^{ielno} ukazał z naszej grupy 8 osób na karę śmierci, a pozostałych na 10 lat isprawnie trudownych łagierzej. Postawiony zarzut w akcie oskarżenia, to "uszkowanie odcierwania od Nwiązku Radzieckiego rdzennie radzieckich terytoriów zachodniej Ukrainy i zachodniej Białorusi." Następnie po 21 dniach trzem skazanym zamieniono najwyższy wymiar kary na 10 lat ITZ, a po 83 dniach dalszym trzem skazanym, w tym również mnie, zamieniono karę śmierci na 20 lat katorżniczych robót. W październiku 1945 wywieziono mnie na Workutę, do kopalni węgla kamiennego.

Przez prawie 11 lat, w warunkach podbiegunowych, i pod groźbą utraty życia w wypadku niemożności lub odmowy pracy, byłem zatrudniony przy budowie i eksploatacji kopalni węgla kamiennego. W lipcu 1953 r. brałem udział w strajku więźniów kopalni 29 i prowadziłem w imieniu więźniów rozmowy z Komisją Rządową z Moskwy kierowaną przez dowódcę wojsk NKWD, gen. armii Maslennikowa i generalnego prokuratora ZSRR - Rudenkę. Kierując do końca oporem więźniów zostałem ciężko ranny /przestrzał płuc i uszkodzenie nerwu prawej ręki/, około 400 więźniów zostało zabitych. Do procesu przez 6 m-cy przebywałem w więzieniu w Workucie. 31.12.1953 zapadł wyrok w sprawie kierowania strajkiem, w którym zostałem uniewinniony.

W końcu 1955 zostałem przekazany na granicy w Brześciu nad Bągiem, władzom polskim i uwięziony w obozie dla więźniów politycznych w Mielecinie k/Włocławka, gdzie przebywałem do 21.10.1955 zwolniony z kartą repatriacyjną nr 26/153, wystawioną jakoby w Grabowie. Powróciłem do Warszawy, gdzie mieszkali moi rodzice, ul. Jaworzyńska 8. Wkrótce otrzymałem rentę inwalidzką wojenną III grupy. Obecnie jestem inwalidą wojennym II grupy.

Powyższe dane z mojego życiorysu, dotyczące zarówno okresu partyzanckiego, jak i skazania za działalność niepodległościową oraz czynną walkę w obozach na Warkucie potwierdzają publikacje historyczne jak i liczni świadkowie, współtowarzysze broni i uwięzienia. W miarę potrzeby uzupełnię je w toku procesu.

WYLICZENIE :

za okres 01.02.1945 - 20.10.1955 = 129 miesięcy

129 m-cy x 4.000.000,- = 516.000.000,-

Zgodnie z obwieszczeniem Prezes GUS w
średnie wynagrodzenie wynosiło ok. 4.000.000,-

2/ Mój wniosek o zadośćuczynienie uzasadniam odniesionymi ranami / 15.08.1944 w Bobrowiczach oraz w VII.1953 na kopalni 29 na Warkucie/, które ograniczyły w znacznym stopniu moją zdolność zarobkowania w okresie po powrocie do kraju, a w sferze psychicznej spowodowały skutki nieodwracalne, prowadzące do uznania mnie za inwalidę II grupy. Z tego tytułu dochodzę kwoty 250.000.000 Jest to suma symboliczna, jak na rozmiary cierpienia, jakie są moim udziałem po dziś dzień i są nieodwracalne.

ZAAŁACZNIKI:

1. karta ewidencyjna repatrianta nr 26/153
 2. Decyzja nr 6022 z 15.01.1993 Kierownika Urzędu d/s Kombatantów i Osób Represjonowanych
 3. Kserokopia legitymacji kombatanczej /uwagi - okres kombatanczy i represjonowania po lipcu 1944 w stadium weryfikacji w Ministerstwie d/s Kombatantów/.
 4. Kserokopia dowodu osobistego,
 5. Artykuł z pisma "KARTA" nr 8 z 1992r. Opis mojego pobytu na Warkucie.
- Dalsze materiały dowodowe w niniejszej sprawie będą dostarczane do akt w miarę ich pozyskiwania.

ŚWIADKOWIE :

1. JAN WYSZKOLSKI
00-759 WARSZAWA, UL. PARKOWA 13/14 m. 137
2. JADWIGA PAULUKOWSKA
69-100 STUBICE, UL. KONST. 3-60 MAJĄ 66/4





Warszawa on 16 czerwca 1993

RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI

Al. Ujazdowskie 11

00-950 WARSZAWA Skr. poczt. 33

Centrala tel. 626-44-31

L. dz. SK. I. 600/152/93

Zarząd Główny

Związku Więźniów Politycznych

Okresu Stalynowskiego

W a r s z a w a

W odpowiedzi na pismo z dnia 27 maja 1993r. skierowane do Ministra Sprawiedliwości, a przekazane do załatwienia Departamentowi Sądów i Notariatu, uprzejmie wyjaśniam :

Od czasu wejścia w życie ustawy z dnia 23 lutego 1991r. (Dz.U. Nr 34, poz.149) do 31 marca br do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie wpłynęło łącznie 2.636 wniosków o uznanie orzeczenia za nieważne i 1.097 o odszkodowanie.

Niezależnie od powyższego z dniem 1 stycznia 1991r. rozszerzona została właściwość rzeczowa sądów wojewódzkich, skutkująca zwiększenie wpływu spraw karnych prawie o 200,0%. Spowodowało to znaczne zaległości w rozpoznawaniu spraw przez sądy wojewódzkie, bowiem przejęcie nowych zadań nie szło w parze z odpowiednim wzmocnieniem kadrowym tych sądów.

Sąd Wojewódzki w Warszawie znajduje się w szczególnie trudnej sytuacji, bowiem wniosków z mocy cytowanej wyżej ustawy wpłynęło tam najwięcej.

Aktualnie pozostaje do załatwienia jeszcze 907 wniosków o uznanie orzeczenia za nieważne i 761 o odszkodowanie.

Podjęte w 1992r. działania organizacyjne zmierzające do usprawnienia postępowania w tym Sądzie, zwłaszcza przez zwiększenie liczby sędziów, mogą przynieść efekty najwcześniej z końcem bieżącego roku.

Dlatego też Ministerstwo Sprawiedliwości ciągle zwraca uwagę prezesom sądów wojewódzkich na potrzebę przyspieszenia rozpoznawania wniosków składanych na podstawie ustawy z dnia 23 lutego 1991r., jednakże z uwzględnieniem możliwości tych sądów.

Z poważaniem

Wicedyrektor Departamentu
Sądów i Notariatu

K. Jarzabek

Miejscowość i data

Sąd Wojewódzki w Warszawie

Al. Solidarności 127

00-598 warszawa

wnioskodawca:

Jan Iksiński

zam.ul.....

kod miasto

Pozwany : Skarb Państwa R.P.

wniosek o wypłatę odszkodowania i zadosćuczynienia:

w imieniu własnym, na podstawie ustawy z dnia 25.02.91r.
"o uznanie za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjo-
nowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu państwa
polskiego" - Dz.U.Nr. 34 z dnia 23.04.1991r. poz.149 i ustawy
z dnia 20.02.1993r. "zmieniającej ustawę o uznanie za nieważne
orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność
na rzecz niepodległego bytu Państwa polskiego." Dz.U.Nr.36
z dnia 6 maja 1993r. poz.159. wnoszę ~~wnoszę~~ pozew o zadosć-
uczynienie od Skarbu Państwa R.P.:

1. Odszkodowanie w kwocie.....+ odsetki od
dnia wniesienia wniosku za ^{niewolniczą} ~~darmową~~ pracę w kopalni węgla ^{nam.}
na Workucie za kołem podpiegunowym.
2. Zadosćuczynienie w kwocie ^{za poniesione} ~~na poniesione~~
^{ciężkie i trwały} ~~krzywdy~~ ^{odmienne} ~~odmienne~~

Uzasadnienia do odszkodowania i zadosćuczynienia.

Pod koniec roku..... mając lat..... zostałem/am/ zaprzysię-
zony w miejscowości..... do szeregów AK, ŻWZ i innych.
Terenem mojego działania były miejscowości
..... Przez cały czas współpracowaliśmy z par-
tyzatką radziecką przeciw Niemcom. Zajmowałem stanowisko
..... Brałem udział w słynnej akcji "Burza".
Należałem do dywizji AK. za przynależność
do AK zostałem aresztowany dnia.....w miejscowości.....
i osadzony przez Wojskowy Trybunał w mieście.....na.....
lat.....Trzymano nas w nieludzkich warunkach w więzieniu a
później wywieziono w bydłych wagonach do miejscowości.....
słynnego archipelagu Gułag./Tu następują wspomnienia z nadludz-
kiej pracy w miejscowości a której odbywało się wyrok/

Wyliczenie:

10 lat = 120 miesięcy x 3.653.000,- = 438.360.000,-zł.

3.653.000,-zł. zgodnie z obwieszczeniem Gł. Urzędu Statystycznego w I kw /pierwszym kwartale/ 1993r./M.P. nr.24 poz.245/. Ponieważ ustawa u-
prawomocniła się w maju 1993 r. dlatego przyjąłem to średnie wynag-
rodzenie.

2/ Mój wniosek o zadośćuczynienie opisane o doznanym krzywdach mo-
ralnych opisanych w w/w piśmie jest niewymierne. Uważam, że żad-
na kwota nie jest w stanie zrehabilitować mi te straszne przeży-
cia i warunki na jakie byłem skazany przez przeszło 10 lat moje-
go życia, tym niemniej kwota zł.....będzie w pewnym sen-
sle ~~nie~~ satysfakcjonowała mnie.

=====

Szanowni Państwo !

W załączeniu wysyłam kserokopię Dziennika Ustaw Nr.34 z dn.23.04.91r.
wybrane artykuły dotyczące nas-żagierników i kserokopię Dziennika
Ustaw nr. 36 z dn. 6 maja 1993 r. również wybrane artykuły dotyczące
nas-żagierników, którzy byli sądzeni przez Wojskowy Trybunał byłego
Związku Kadzieckiego i otrzymali rehabilitację: Dz.U. Nr.34 z dnia
23.04.91r. Art.8 punkt 1. Punkt 2 art. jak/w, należy złożyć w Sądzie
Wojewódzkim w nieprzekraczalnym terminie do dnia 20 maja 1994 r.
Ci z Państwa, którzy nie mają "nieważności orzeczenia" czyli reha-
bilitacji, mogą się o taką starać MSW w Warszawie pokój Nr.116.
Prawdopodobnie mają już nasze akta. Bracia Jankowscy Karol i nieży-
jący już Kazimierz rehabilitację otrzymali ze Lwowa w Wojskowego
Trybunału już w roku 1990. Ukraina obecna wydaje rehabilitacje dla
Polaków, tylko że to długo trwa. Białoruś dotychczas rehabilitacji
nie wydawała, ale trzeba spróbować, być może w chwili obecnej wydaje.
Litwa wydaje rehabilitacje. O rehabilitacje można się starać dwoma
drogami przez MSW w Warszawie i przez Wojskowy Trybunał danej repu-
bliki w której było się sądzonym.

Po otrzymaniu mojego pisma i kserokopii Dz.U. Nr.34 i 36 proszę
zasięgnąć porady u prawnika na swoim terenie, który opracuje podanie
i z przedstawionych dokumentów wybierze te, które w sądzie będą po-
trzebne i poinformuje ile trzeba zrobić kserokopii, co trzeba przet-
łumaczyć u tłumacza przysięgłego i.t.d. Przy redakcji każdej gazety
terenowej urzęduje radca prawny który udziela porad bezpłatnie.
Zgłoszenie do Najwyższego Sądu Wojewódzkiego w Warszawie należy
składać dokumenty nawet niekompletne, tylko trzeba zaznaczyć, że się
je dośle.

Życzę powodzenia w załatwieniu odszkodowania i zadośćuczynienia za
bezpłatną pracę na "niełudzkiej ziemi".

L. Szulc



DZIENNIK USTAW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, dnia 6 maja 1993 r.

Nr 36

TREŚĆ:

Poz.:

USTAWA

- 159 — z dnia 20 lutego 1993 r. zmieniająca ustawę o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego 705

ROZPORZĄDZENIA RADY MINISTRÓW:

- 160 — z dnia 28 kwietnia 1993 r. w sprawie postępowania spornego i odwoławczego oraz opłat związanych z ochroną wynalazków i wzorów użytkowych 706
- 161 — z dnia 28 kwietnia 1993 r. w sprawie opłat związanych z ochroną wzorów zdobniczych 710
- 162 — z dnia 29 kwietnia 1993 r. w sprawie ustanowienia wolnego obszaru celnego w Sokółce w województwie białostockim 711

ROZPORZĄDZENIE

- 163 — Prezesa Rady Ministrów z dnia 29 kwietnia 1993 r. zmieniające rozporządzenie w sprawie nadania statutu Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa 712

159

USTAWA

z dnia 20 lutego 1993 r.

zmieniająca ustawę o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego.

Art. 1. W ustawie z dnia 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego (Dz. U. Nr 34, poz. 149) wprowadza się następujące zmiany:

1) w art. 8 po ust. 2 dodaje się ust. 2a w brzmieniu:

„2a. Uprawnienia określone w ust. 1 przysługują również osobom, mieszkającym obecnie bądź w chwili śmierci w Polsce, represjonowanym przez radzieckie organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości lub organy pozasądowe, działające na mocy porozumienia zawartego w dniu 26 lipca 1944 r. między Polskim Komitetem Wyzwolenia Narodowego i Rządem Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich o stosunkach między radzieckim woźdem naczelnym a polską administracją po wkroczeniu wojsk radzieckich na terytorium Polski, za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego lub z powodu takiej działalności. Żąda-

nie odszkodowania i zadośćuczynienia należy zgłosić w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie. Przepis art. 1 ust. 3 stosuje się odpowiednio, zaś przepisy art. 9—11 nie mają zastosowania.”;

2) w art. 11:

a) w ust. 1 w zdaniu drugim wyraz „roku” zastępuje się wyrazami „trzech lat”;

b) w ust. 2 na końcu zdania kropkę zastępuje się przecinkiem i dodaje wyrazy „przy czym termin określony w ust. 1 nie ma zastosowania.”

Art. 2. Żądanie określone w art. 8 ust. 2a ustawy, o której mowa w art. 1, może być zgłoszone w terminie roku od dnia wejścia niniejszej ustawy w życie

Art. 3. Ustawa wchodzi w życie po upływie 14 dni od dnia ogłoszenia, z tym że przepis art. 1 pkt 2 — z mocą od dnia 24 maja 1992 r.

Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej: *L. Wałęsa*



DZIENNIK USTAW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Warszawa, dnia 23 kwietnia 1991 r.

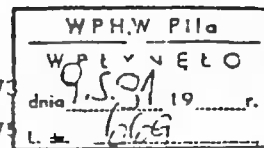
Nr 34

TREŚĆ:

Poz.:

USTAWY:

- 149 — z dnia 23 lutego 1991 r. o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego 473
- 150 — z dnia 22 marca 1991 r. o zmianie ustawy — Prawo budżetowe 475
- 151 — z dnia 22 marca 1991 r. o zmianie ustawy — Przepisy wprowadzające ustawę o samorządzie terytorialnym i ustawę o pracownikach samorządowych 475



ROZPORZĄDZENIA PREZYDENTA RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ:

- 152 — z dnia 29 marca 1991 r. w sprawie szczegółowych zasad wynagradzania prezesa i wiceprezesa Trybunału Konstytucyjnego, I prezesa i prezesów Sądu Najwyższego oraz prezesa i wiceprezesów Naczelnego Sądu Administracyjnego 476
- 153 — z dnia 29 marca 1991 r. w sprawie organizacji i zasad wewnętrznego postępowania Sądu Najwyższego 476

ROZPORZĄDZENIE

- 154 — Ministra Łączności z dnia 15 kwietnia 1991 r. w sprawie urządzeń, linii i sieci telekomunikacyjnych, których zakładanie i używanie nie wymaga zezwolenia 480

149

USTAWA

z dnia 23 lutego 1991 r.

o uznaniu za nieważne orzeczeń wydanych wobec osób represjonowanych za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego.

Art. 1. 1. Uznaje się za nieważne orzeczenia wydane przez polskie organy ścigania i wymiaru sprawiedliwości lub przez organy pozasądowe w okresie od rozpoczęcia ich działalności na ziemiach polskich, począwszy od 1 stycznia 1944 r. do 31 grudnia 1956 r., jeżeli czyn zarzucony lub przypisany był związany z działalnością na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego albo orzeczenie wydano z powodu takiej działalności, jak również orzeczenia wydane za opór przeciwko kolektywizacji wsi i obowiązkowym dostawom.

2. Przepis ust. 1 stosuje się również, jeżeli czyn został popełniony w celu uniknięcia w stosunku do siebie lub innej osoby represji za działalność, o której mowa w tym przepisie.

3. Przepisów ust. 1 i 2 nie stosuje się, jeżeli dobro poświęcone pozostawało w rażącej dysproporcji do dobra, które uzyskano lub zamierzano uzyskać, albo sposób działania lub zastosowany środek były rażąco niewspółmierne do zamierzonego lub osiągniętego skutku.

4. Uznaje się również za nieważne orzeczenia wydane po dniu 31 grudnia 1956 r., jeżeli dotyczyły one czynu lub działalności mających miejsce w okresie od 1 stycznia 1944 r. do 31 grudnia 1956 r.

Art. 2. 1. Nieważność orzeczenia stwierdza sąd wojewódzki lub wojskowy sąd okręgowy, jeżeli zgodnie z obowiązującymi przepisami w dniu wejścia w życie ustawy właściwy do rozpoznania sprawy o czyn będący przedmiotem tego orzeczenia jest sąd wojskowy. Stwierdzenie nieważności orzeczenia uznaje się za równoznaczne z uniewinnieniem.

2. Miejscowo właściwy do stwierdzenia nieważności jest sąd, w którego okręgu, określonym przepisami obowiązującymi w dniu wejścia w życie ustawy, wydane zostało przez organ I instancji orzeczenie będące przedmiotem postępowania o unieważnienie.

3. Jeżeli nie można ustalić właściwości miejscowej sądu według przepisu ust. 2, sprawę rozpoznaje odpowied-

nio sąd wojewódzki lub wojskowy sąd okręgowy w Warszawie.

Art. 3. 1. Stwierdzenie nieważności orzeczenia następuje na wniosek Rzecznika Praw Obywatelskich, Ministra Sprawiedliwości, prokuratora, osoby represjonowanej, osoby uprawnionej do składania na jej korzyść środków odwoławczych, a w razie śmierci, nieobecności w kraju lub choroby psychicznej osoby represjonowanej, także jej krewnego w linii prostej, przysposabiającego lub przysposobionego, rodzeństwa oraz małżonka; jak również organizacji zrzeszającej osoby represjonowane za działalność na rzecz niepodległego bytu Państwa Polskiego.

2. Sąd orzeka na posiedzeniu na podstawie akt postępowania orgału, który wydał orzeczenie, a w miarę potrzeby przeprowadza dalsze postępowanie dowodowe.

3. Na postanowienie w przedmiocie nieważności orzeczenia przysługuje zażalenie podmiotom, o których mowa w ust. 1.

4. Jeżeli przepisy ustawy nie stanowią inaczej, w postępowaniu o stwierdzenie nieważności orzeczenia mają odpowiednie zastosowanie przepisy Kodeksu postępowania karnego, z tym że udział prokuratora w posiedzeniu o stwierdzenie nieważności jest obowiązkowy. W posiedzeniu ma prawo wziąć udział osoba represjonowana, osoba uprawniona do składania na jej korzyść środków odwoławczych, a w razie śmierci, nieobecności w kraju lub choroby psychicznej osoby represjonowanej, także jej krewny w linii prostej, przysposabiający lub przysposobiony, rodzeństwo oraz małżonek, a ponadto, za zgodą sądu, inne osoby. Z przebiegu posiedzenia sporządza się protokół.

Art. 4. Stwierdzeniu nieważności orzeczenia nie stoi na przeszkodzie wykonanie kary, zastosowanie amnestii lub abolicji, zatarcie skazania, akt łaski, przedawnienie, zadośćuczynienie, śmierć osoby represjonowanej, której orzeczenie dotyczy, zawieszenie postępowania lub jego umorzenie z innych powodów niż te, o których mowa w art. 11 pkt 1 Kodeksu postępowania karnego.

Art. 5. 1. Stwierdzając nieważność orzeczenia, sąd może orzec, na wniosek podmiotów, o których mowa w art. 3 ust. 1, o podaniu treści postanowienia do publicznej wiadomości w szczególny sposób.

2. Na postanowienie przysługuje zażalenie podmiotom, o których mowa w art. 3 ust. 1.

Art. 6. Stwierdzając nieważność orzeczenia, sąd poucza osoby uprawnione o przysługujących im uprawnieniach do żądania odszkodowania za poniesioną szkodę i zadośćuczynienia za doznaną krzywdę.

Art. 7. 1. Sąd pozostawia bez rozpoznania wniosek, o którym mowa w art. 3 ust. 1, jeżeli oskarżonego uniewinniono lub postępowanie umorzono z powodów, o których mowa w art. 11 pkt 1 Kodeksu postępowania karnego.

2. Na postanowienie przysługuje zażalenie podmiotom, o których mowa w art. 3 ust. 1.

Art. 8. 1. Osobie, wobec której stwierdzono nieważność orzeczenia, przysługuje od Skarbu Państwa odszkodo-

wanie za poniesioną szkodę i zadośćuczynienie za doznaną krzywdę, wynikłe z wydania takiego orzeczenia. W razie śmierci tej osoby, uprawnienie to przechodzi na małżonka, dzieci i rodziców

2. Żądanie odszkodowania i zadośćuczynienia należy zgłosić odpowiednio w sądzie wojewódzkim lub wojskowym, który wydał postanowienie o stwierdzeniu nieważności orzeczenia, w terminie roku od daty jego uprawomocnienia się.

za Pisma Dziennik Ustaw Nr. 36

3. W postępowaniu o odszkodowanie i zadośćuczynienie mają odpowiednie zastosowanie przepisy rozdziału 50 Kodeksu postępowania karnego.

4. Przepis ust. 1 nie ma zastosowania, jeżeli w wyniku rewizji nadzwyczajnej lub wznowienia postępowania prawomocnie zasądzono odszkodowanie, chyba że za jego zastosowaniem przemawiają względy słuszności.

Art. 9. Niezależnie od odszkodowania i zadośćuczynienia sąd może zasądzić od Skarbu Państwa pokrycie w całości lub w części kosztów symbolicznego upamiętnienia osoby niesłusznie represjonowanej, jeżeli jej śmierć była skutkiem wykonania orzeczenia uznanego za nieważne; przepisy art. 3 ust. 1 oraz art. 8 ust. 2 i 3 stosuje się odpowiednio.

Art. 10. W wypadku stwierdzenia nieważności orzeczenia, osobie uprawnionej zwraca się mienie, którego przedmiotem była konfiskata orzeczenia na rzecz Skarbu Państwa, oraz przedmioty zatrzymane w toku postępowania — z wyjątkiem przedmiotów, których posiadanie jest zakazane lub wymaga zezwolenia — jeżeli znajdują się one w posiadaniu państwowej jednostki organizacyjnej, a w razie niemożności zwrotu — ich równowartość.

Art. 11. 1. Przepisy art. 8 — 10 mają odpowiednie zastosowanie również wobec osób, co do których zachodzą przesłanki do stwierdzenia nieważności orzeczenia, jeżeli oskarżonego uniewinniono lub postępowanie umorzono z powodów, o których mowa w art. 11 pkt 1 Kodeksu postępowania karnego, i nie zostało prawomocnie zasądzone odszkodowanie i zadośćuczynienie, a osoby te były zatrzymane lub tymczasowo aresztowane. Odpowiednie żądanie może być zgłoszone w terminie roku od dnia wejścia ustawy w życie.

2. Przepis ust. 1 ma odpowiednie zastosowanie wobec osób pozbawionych życia albo wolności przez organy, o których mowa w art. 1 ust. 1, bez przeprowadzenia zakończonego orzeczeniem postępowania.

Art. 12. Sprawy o czyny lub z powodu działalności określonych w art. 1, w których do dnia wejścia ustawy w życie nie rozpoznano wniesionej rewizji nadzwyczajnej lub złożonego wniosku o wznowienie postępowania, przekazuje się sądowi właściwemu według przepisów niniejszej ustawy.

Art. 13. Koszty postępowania w sprawach objętych ustawą ponosi Skarb Państwa.